

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 131.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 29 marca 1862 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3.
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM V.

TREŚĆ NUMERU.

Franciszek Morawski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Ostróg (z dwoma drzeworytami). — Obrazy krakowskie (z czterema drzeworytami). — Rozwiązanie zadania konikowego do nagrody. — Rebus. — Kazania szlacheckie. — Przegląd piśmienniczy. — Kilka uwag nad zamierzonym wysłaniem na wystawę londyńską przedstawicieli naszego przemysłu. — Korrespondencya od redakcyi.

Franciszek Morawski.

Coraz więcej ubywa pośród nas ludzi, którymi przez lat wiele chlubił się, którzy albo odebrawszy od natury wyższe uzdolnienie, albo też skutkiem wytrwałości i pracy, wzniesli się nad innych i skierowali na pożytek narodu swe siły, swą wiedzę i światło, podnosili jego ducha, lub ożywiali piśmiennictwo. Nie będziemy wyliczać i wskazywać świeżego jeszcze szeregu grobowców; dość gdy wspomnimy co dopiero zmarłych: Batowskiego, Kucharskiego, Łabędzkiego, oraz zasłużonego weterana, generała byłych wojsk polskich i zarazem Nestora pomiędzy poetami naszymi, Franciszka Morawskiego. Bieg życia jego zamierzylimy choć w krótkości tu skreślić, przedstawiając go więcej jako pisarza, aniżeli wojownika; zebrać zaś główniejsze szczegóły publicznego jego życia tém łatwiej nam będzie, gdy zmarły generał na kilka miesięcy przed śmiercią sam podyktował treściwą swoją autobiografią, od lat bowiem kilku zbyt mu się ręka trzęsła, aby sam mógł pisać.

Franciszek a Paulo Dzierżykraj z Chomencin Morawski, był synem Wojciecha Morawskiego, dziedzica dóbr Bełęcina i Karchowa, obecnie w w. ks. poznańskim, w powiecie wschowskim położonych, i Zofii z Szczanieckich; urodził się d. 2 kwietnia 1783 r. we wsi Pudliszkach pod Krobią, którą to wieś ojciec jego miał podówczas w zastawie. Pierwsze nauki pobierał w domu rodzicielskim w Bełęcinie, gdzie w tym celu czterech mu nauczycieli trzymało. Sławne było niegdyś gimnazjum reformowane czyli braci czeskich w Lesznie, a lubo te szkoły nie miały już wtenczas takiej świetności jak w pierwszej połowie XVII wieku, jednakże za czasów panowania króla Stanisława Augusta, pod rektorem z rodziny Casysusów, liczono je do najlepszych w Wielkopolsce. Tu więc oddano młodego Morawskiego, kończył jednakże nauki w domu, gdzie mu emigrant francuzki, ks. Bienaimé, dalszych udzielał wiadomości. Spędziwszy wreszcie na uniwersytecie w Frankfurcie nad Odrą lat cztery, poświęcił się zawodowi prawniczemu i pracował przy sądzie tamecznym, w wydziale kryminalnym. Nakoniec, po

złożeniu w Kaliszu egzaminu auskultatorskiego przed prezesem Dankelmanem, pracował tam przez lat dwa. Lecz uznal zapewne że nabył już dosyć nauki, doświadczenia i wprawy, aby wróciwszy do rodzinnej zagrody i do rolniczej pracy, mógł w gronie swych współobywateli odpowiednio zająć stanowisko. Zwrócony do pług, gospodarował najprzód przez dwa lata we wsi Kotowiecku, wraz z bratem swoim Józefem, późniejszym referendarzem, a następnie rok jeden w Luboni, w powiecie krobkim.

lowo były najpotrzebniejsze. Wraz z całą młodzieżą wielkopolską pośpieszył natychmiast do Poznania, i zaraz jako podporucznik wstąpił do gwardyi honorowej przy osobie cesarza. Po wyjeździe Napoleona i po rozwiązaniu téjże gwardyi, przeszedłszy w szeregi walczących, posuwał się szybko na wyższe stopnie. W tymże jeszcze roku, po bitwie pod Tczewem, został porucznikiem; przy oblężeniu Gdańska w r. 1807 ranny w nogę, postąpił na kapitana. Przy oblężeniu Kołobrzegu (Kolberg), jako adjutant-major w legionie

trzecim, pułku pierwszemu piechoty, dowództwa Antoniego księcia Sułkowskiego, idąc w dniu 7 maja z wielką odwagą na nieprzyjaciela, został znów lekko rannym w ramię siekaciami, za co uzyskał pochwałę swego mężstwa i od razu krzyż kawalerski orderu virtuti militari. Kampanią austryacką z roku 1809 rozpoczął jako adjutant generała Fiszera; po bitwie zaś pod Raszynem, gdzie miał dziesięć razy przestrelony mundur, został podpułkownikiem i przeszedł do dwunastego pułku piechoty. W obronie Sandomierza, w nocy z dnia 15 czerwca, gdy bateria Nr. 6 przez Austryaków zdobyta była, Morawski, dowodzący w baterii 7, zrobił wycieczkę z cmentarza, dla zajęcia jej nanow; lecz napadnięty od dziesięć razy większej siły, dostał się w niewolę. Tak powiedziane jest w raporcie urzędowym generała brygady Sokolnickiego, dowódcy Sandomierza. Musiała jednak ta niewola trwać bardzo krótko, gdy Morawski w swej autobiografii wcale o niej nie wspomina, owszem należał w tej kampanii do wielu innych potyczek. Po zajęciu Krakowa, posłany został na zdobycie Wieliczki, co też nietrudno mu przyszło, bo Austryacy wkrótce z niej ustąpili. W r. 1811 był z swym pułkiem przy fortyfikowaniu Modlina, a przed kampanią 1812 r. został gros-majorem w tymże pułku. Gdy dowódca jego, Wejssenhof, przeszedł na szefa sztabu dywizyi generała Zajączka, Morawski, jako gros-major, dowodził tym pułkiem aż do Smoleńska, gdzie odebrał przeznaczenie na szefa sztabu w dywizyi generała Kniaziewiczza. Za bitwę pod Smoleńskiem, w której konia pod nim ubito, ozdobiony był krzyżem kawalerskim legii honorowej. Całą wreszcie kampanią z r. 1812 odbył jako szef sztabu, był we wszystkich wielkich bitwach, oraz pod Tarutynem i Wiazmą, a podczas odwrotu przy przeprawie przez rzekę Berezyne. W czasie téj także kampanii został mianowany pułkownikiem, o czém jednak, jak sam mówi, dowiedział się dopiero po powrocie do Warszawy, gdyż kurier z nominacją jego nie zdołał dostać się do



FRANCISZEK MORAWSKI (Rysował z fotografii Polkowski).

Tu w r. 1806 posłyszal o zbliżającym się Napoleonie cesarzu Francuzów, na czele zwyciężczych hufców, a lubo nie poświęcał się nigdy zawodowi wojskowemu, uznal jednak iż w nim usługi jego chwi-

armii. Nominacja ta, wydana z ministerium wojny, ogłoszona została w pierwszej połowie listopada 1812 r. (4) Po powrocie rozbitków wojska polskiego do Warszawy, mianowany adjutantem – komendantem w sztabie księcia Józefa Poniatowskiego, przez niego z Kraśowa wysłany był z depeszami do cesarza Napoleona, i z tej przyczyny był obecnym w bitwie pod Budzyszynem (Bautzen). Gdy zaś wojska polskie w Saksonii weszły na linię bojową, Morawski przeszedł do kawalerii jako szef sztabu dywizji księcia Antoniego Sułkowskiego. Przy boku tego dowódcy, był we wszystkich następnych walkach i nakoniec pod Lipskiem, za którą to bitwę otrzymał krzyż złoty oficerski legii honorowej.

Gdy książę Józef Poniatowski skończył życie w nurtach Elstery i książę Sułkowski objął naczelne dowództwo wojska polskiego, Morawski mianowany był szefem sztabu głównego, a gdy po Sułkowskim dowództwo przeszło na generała Dąbrowskiego, ten potwierdził go w tym stopniu. W tym stanowisku odbył bitwę pod Hanau. Wówczas resztki wojska polskiego, ustępując w granice Francji za bledniejącą już gwiazdą Napoleona, w przechodzie zgromadziły się w Sedan (w Szampanii). Tam dnia 23 grudnia 1813 r. urządziły żałobne nabożeństwo za duszę zgasłego wodza swego, księcia Józefa Poniatowskiego; chodzilo o wybór mówcy pogrzebowego, któryby godnie odpowiedział tak wzniosłej chwili i poważnemu obrzędowi, i Morawski powołany został przez kolegów do tego zaszczytu.

Znany był już za księstwa warszawskiego jego talent, i napisał wówczas poemat: *Napoleonidę*, którego jak się zdaje nigdy drukiem nie ogłosił. Gdy Woronicz, będący jeszcze wówczas kanonikiem warszawskim i radcą stanu, przeczytał ten poemat, cały w dytambach, ognisty, silny, lecz, jak zwykle u młodego poety, przesadny i w myślach nieco zawikłany, unosił się przed Kajetanem Koźmianem nad jego pięknosciami, i gdy z ust jego usłyszał krytykę, rzekł: „To jeszcze młodzieniec; wiek uhamuje zbyt ni zapęd, a poezja zostanie, bo jest już w duszy. Łatwiej ogień przygasić, jak go bez zarzewia wznieść. Wierzę mi, ten młody człowiek będzie znakomitym poetą.“ (2)

Warto pod tym względem inny jeszcze szczegół z życia Morawskiego przytoczyć. Kiedy pod koniec r. 1812 zbliżały się ku Warszawie zwycięskie wojska rosyjskie, opuściło ją wojsko polskie, rząd, konfederacja generalna, obywatele i mieszkańcy, którzy się z nowym położeniem tak zaraz oswoić nie mogli, i wszyscy zatrzymali się w Krakowie. Tak Polska miała przez czas niejaki dwie stolice i dwa rządy. W Warszawie władał rząd tymczasowy polsko-rosyjski, przez cesarza Aleksandra ustanowiony, w Krakowie rząd polsko-francuzki, kierowany i strzeżony przez ministra francuzkiego Bignona. Kraj, rozdzielony między dwóch walczących z sobą opiekunów, chwiać się zaczął w duchu i w wyborze, którego z nich losom i oświadczeniem zaufa i od którego spodziewać się zbawienia. Znał to położenie minister francuzki; żeby więc odwrócić umysły od głębszego rozważania i zastanawiania się nad niem, wymyślał rozmaite zabawy, uczyły wykwinne i tańce dla mieszkańców Krakowa, zachęcał do dawania zabaw i zapraszania na nie; mniejsze zaś domy naglił nawet, aby ożywiały ten ruch towarzyski. Tak więc przez trzy miesiące, w których wojska polskie zbroili się w Krakowie, stolica ta w smutnym położeniu kraju przedstawiała najszczęśliwszą i najweselszą postać: co dzień nowe obiady, szlichtady, hulanki, wieczory i bale. Wszystko to bolesnym uczuciem odbijało się w poważniejszych umysłach, przy widoku nieraz z wałów miasta czatów nieprzyjaciela, który prawie na miłę od Krakowa się zbliżył, — przy niedostatku kass publicznych, nędzy prostych żołnierzy, nieporządku i nieładzie w szpitalach, z których po nocach trupów wywożono, a nawet gubiono po drodze, tak iż zdarzało się że tancerze powracający z balów, w nocy na ciemnych ulicach potykali się o nieboszczyków. Żadnymi uwagami i przestrogią nie można było wstrzymać tego niepojętego szału. Głos rozsądku zagłuszało mnóstwo młodych, urodziwych i strojnych oficerów, niepewnych w życiu dnia jutrzejszego, a więc chcących dzień dzisiejszy wesolo przepędzić. Rozbudzała jeszcze tę wesolość wielka liczba pięknych i dobrze ułożonych córek, wnuczek lub wychowanic poważnych i pobożnych matron, które wciągnięte w ten wir przez młodzież, przesadzały się w domach swoich na zabawy. Brali w nich udział najpoważniejsi nawet mężowie i urzędnicy, już też dla durzenia tą wesolością innych ziomków swoich. Tak więc sam na-

wet Stanisław Potocki, prezes rady ministrów, już wtedy starzec, skakał w kadrylu na tańczącym wieczorze u pani Małachowskiej wojewodziny krakowskiej. Wówczas Kajetan Koźmian, zachęcany od innych, napisał w duchu satyrycznym kilkanaście wierszy pod tytułem: „Na tańczący Kraków,“ i oddał je generałowi Kniaziewiczowi, który także z oburzeniem na te hulanki spoglądał. Ten, zapieczetowawszy wiersze w list, kazał go sobie oddać lokajowi, jakoby z Warszawy nadesłany, przy obiedzie, w przytomności kilku osób. Generał natychmiast wiersze te przeczytał, pozwolił robić odpisy, sam je nawet rozdawał, i tak rozbiegły się wkrótce po całym mieście. Wszczęły się więc hałas, wrzawa i gniew niesłychany. Gubiono się w domysłach o autorze tych wierszy; lecz go nie odgadniono. W każdym wierszu upatrywano czyjś obraz, jakąś osobistość dotkniętą; rozdrażnione kobiety podburzały młodzież; podburzono nawet księcia Józefa, widząc, choć niesłusznie, i dla niego przyśnek. Cała muza krakowskich przygodnych wierszopisów wystąpiła z satyrami, odpowiedziami i przyganami. Zapuszczano się w głęboką erudycję, wywodząc początki tańców, wziętość ich u wszystkich ludów; jak grad leciały wiersze i wierszydła. Tańce wprawdzie ustały, lecz zaczęła się na zabój polemika tańcowa, i dopiero Morawski jedynym i tegim swym wierszem zgromił ją i do milczenia przymusił. (3).

Nie zawiódł także oczekiwań ziomków swoich przy obchodzie pogrzebowym za księcia Józefa Poniatowskiego w Sedan, a jego mowa, pełna czułych i wzniosłych myśli, obok treściwego i prawdziwie krasomówczego oddania, sprawiła w sercach i umysłach słuchaczy głębokie wrażenie. W r. 1814 kazał Feliks hr. Łubieński wydrukować tę mowę w Paryżu, w księgarńi L. G. Michaud w 300 egzemplarzach, a ponieważ naprędce liter polskich dostać nie było można, wykonano więc druk jak się dało; zład też głoski a, e, é, i, n i t. d., musiały być zastąpione przez a, e, c, l, n, i t. p. Drugie wydanie tej mowy wyszło w Warszawie 1830 r., jeżeli się nie mylimy, jako dodatek jednego z pism ówczesnych publicznych, trzecie zaś i czwarte wydanie ukazało się we Lwowie 1848 r.

Kończąc wreszcie Morawski tyle wielką i świetną, a dla oręza francuzkiego w końcu tyle nieszczęśliwą walkę, był jeszcze obecnym w bitwie pod Paryżem, ale już tylko jako świadek przy boku marszałka Marmont, gdyż wliczony był podówczas do kompanii honorowej oficerów nieobjętych organizacją pułków znajdujących się na linii bojowej. Po abdykacji Napoleona, cesarz Aleksander posłał Morawskiego do Danii, celem sprowadzenia brygady jazdy polskiej tamże pozostającej; przy nową zaś organizacyi wojska polskiego. W. Ks. Konstanty mianował go podszefem sztabu głównego.

Nieraz w ówczesnych stosunkach położenie jego było niełatwem, dowieć jednak, stanowczość głęboko uzasadniona w odpowiedzi, przychodziły mu silnie w pomoc, a swą prawością, taktem i godnością w postępowaniu, nietylko potrafił torować dla siebie drogę, ale nieraz nawet zdołał zasłonić innych kolegów, mniej zręcznych, lub mniej szczęśliwych. W r. 1819 wyniesiony został na stopień generała brygady.

Ale w tym czasie miał Morawski zajaśniać w innym jeszcze zawodzie. Znany już jego poetyczny talent, w czasach pokoju mógł się silnie rozwijać. Wszedł on teraz w związki z znakomitszymi literatami, a wnet na tym polu dał się bliżej poznać nietylko w Warszawie, ale po całej Polsce. Zapraszany na współpracownika przez pisma peryodyczne, stał się upragnionym gościem wszystkich towarzystw poważniejszych, w których smak wykształcony, połączony z nauką i dowcipem, pánował; jednem słowem można powiedzieć, że po Niemcewiczu stał się niebawem najprzeważniejszą ozdobą, a niekiedy nawet wyrocznią i ulubieńcem Warszawy. Z pod jego pióra odtały płynęły coraz nowe bajki, wiersze rozmaitego rodzaju, poemata oryginalne, lub przekłady z obcych języków. Jeszcze niejedną może zapamięta, z jakim oklaskiem na scenie narodowej przyjęto tłumaczenie jego *Andromachy* Rasy. Najbieglejsi sędziowie przyznali mu, że w tłumaczeniu nietylko zachował całą tkliwość Rasy, ale nawet słowem i wyrażeniem jego dodał hartu i siły. „Skornelizowałeś Rasy,“ odezwał się do niego po pierwszym wystawieniu jeden z najnamienitszych znawców tragicznego rodzaju poezji. Przytęm okazał tak wielką łaskowość wierszowania, że do niego przed wszystkiemi udawano się w każdej okoliczności, czy szło o jakiś wiersz przygodny, czy o sztukę dla teatru amatorskiego. W. książę Konstanty jemu tylko jednemu pomiędzy

wojskowymi przebaczał zajmowanie się piśmiennictwem, a nawet z jego polecenia musiał Morawski w ciągu 24 godzin dorobić wiersz do jakiejś wielkiej kompozycyi mszalne.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika tygodniowa.

Więc tedy:

1mo niema dzieł Triplina w czytelni dam kieleckich.

2do opłata wynosi od każdego członka zlp. 3 gr. 10 na miesiąc.

Dowiedzieliśmy się o tém wszystkim z kilku korespondencyj, prostujących wiadomość jaką podaliśmy w jednej z przeszłych naszych kronik.

Korespondentki odwołują to, o czém korespondent donosił, więc chociażby przez samą grzeczność wiara przy płci pięknej musi zostać. Dodamy jednak że nie o Triplina tu szło ani idzie. Mówiliśmy w ogóle o książkach z których ani dla serca, ani dla umysłu żadna korzyść nie przyjdzie. Jeżeli takich w czytelni dam kieleckich niema, tém lepiej.

Dowiadujemy się że cztery damy stanowią w tej czytelni komitet, wyrokujący o mających się zakupić dziełach. Tego komitetu właśnie zadanie najtrudniejsze. Nie jesteśmy wcale zdania tego filozofa, który twierdził że cała mądrość ludzka, że wszystkie stopy dzieł zapisanych przez tyle wieków, mogłyby i powinny się zawrzeć w stu najwięcej dobranych tomach, stanowiących bibliotekę jedynie zasługującą na tę nazwę. Znajdujemy że barbarzyństwem jest palenie dzieł na rynku, jak to w Aleksandrii na dobre parę wieków przed Omarem już czyniono, tak iż ten tyle razy przez historyków obmawiany Arab, za ledwie resztkę już tylko owej sławnej biblioteki zastał, i z tej resztki nawet dobrą połowę uratował. Ale znajdujemy także iż kraży po świecie ogromne mnóstwo książek niepotrzebnych a nawet szkodliwych, i bogdaj czy nie większa liczba ich się znajdzie, aniżeli prawdziwie użytecznych.

Literatura wprawdzie nasza, budząca się z długiego uśpienia, dość jeszcze oszczędnie poczyniła sobie w tym względzie. Ale wszędzie i we wszystkiem należy brać na uwagę jak co, i jak dla kogo.

Otóż niewątpliwa rzecz, że u nas damy więcej czytają od mężczyzn, ale niewszystko i niezawsze pisze się w przewidywaniu takiego rezultatu. W krajach na wysokim stopniu oświaty stojących, literatura dla dam oddzielną jest prawie; nawet w naukach, nawet w sztukach piszą się dla nich osobne dzieła. W Anglii to się najlepiej czuć daje, bo we Francji, niestety, autorzy, belletrysty zwłaszcza, w inny zupełnie sposób spekulują na zajęcie płci pięknej. Oni znajdują że od matki Ewy owoc zakazany najlepiej smakuje jej potomkiniom (przepraszam za nowokształtny wyraz) i tak się umieją jakoś ułożyć, że właśnie te skrzynie z jabłkami rajskimi bywają najpokupniejszą z towarów książkowych. Więc literatura wyłączna dla dam przeznaczona jest tam częściej plagą dla nich, niż nauką. U nas, dzięki Bogu, tego rodzaju spekulantów nie było prawie; nie przeto jednak twierdzimy żeby można brać każdą książkę na wiarę jej niewinnego, często ponętnego nawet tytułu i dawać ją do czytania kobietom, zwłaszcza pannom.

Zdarzało się, i to niestety zbyt często, że felietony w pismach publicznych, na które, jako najprzystępniejsze, najbaczniejsza pod tym względem powinna być zwrócona uwaga, nie odpowiadały ani swojemu przeznaczeniu znajdowania się w każdym ręku, ani nazwisku autora, zakładając zasłużonego i znanego z talentu. Tém gorzej jeżeli talent prawdziwy zajmował miejsce owego węża co do jabłka wabi; bo wszakże i wąż w raju miał niezawodnie talent, tylko niestety na zle.

Nie wątpimy że komitet dam kieleckich potrafi się ustrzedz od tego rodzaju niebezpieczeństw; ale zasadą jest niezawodną, że kto chce nie wlecieć w przepaść, ten powinien wiedzieć gdzie się ona znajduje. Dobrze więc byłoby żeby komitet przybrał sobie w pomoc kogoś dokładnie obznajmionego z naszą literaturą, któryby w wyliczaniu katalogowem nie widział zbioru suchych tylko nadgłówek, ale i z treścią był obeznany.

Rozpisałiśmy się obszerniej nad tym przedmiotem, na dowód że pochwalamy serdecznie przyprowadzenie do skutku tak uczciwej myśli. Niech jednak czytelniczki nasze nie sądzą, że pragniemy je w jakibądź sposób odwozić od korzystania z plodów tak zwanej lekkiej literatury. Czytanie dzieł naukowych,

(1) Obacz *Gazetę Poznańską* Nr. 92 z d. 14 listopada 1812 r.

(2) Obacz *Pamiętniki Kajetana Koźmiana*, t. II, str. 152, 162.

(3) *Pamiętniki Kajetana Koźmiana*, t. II str. 289.

historycznych, krytycznych jest potrzebne; ale dla kobiety zwłaszcza nie powinno ono stanowić zasady, lecz tylko przydatek. Mężczyzna specjalnemu poświęcający się zawodowi, musi i powinien przede wszystkim przykładać się do czytania dzieł specjalnych, posługujących mu na drodze jaką sobie obrał. Inna rzecz jest z kobietą. Belletrystyka, poezja, powieść, to czytanie głównie dla niej, zwłaszcza u nas, gdzie ta ważna gałąź literatury zaczyna od pewnego czasu upadać, z powodu braku szczerzego zajęcia się nią. To co młodzież poszukuje jako najbardziej sympatyzujące z jej zapałem, z jej miłością, z poczuciem piękna jaką ma w sobie, to co większa część mężczyzn w późniejszym wieku uważa tylko jako kwiat pięknie wionący, ale już bezużyteczny, to samo właśnie dla kobiety w wszelkim stanie, w wszelkim wieku będzie zrozumiałem, pojętnem, ulubionem. Bo serce kobiety nie zaschnie nad rachunkami, umysł jej nie zsystematyzuje się w poszukiwaniach praw rzymskich, kodeksów Napoleona i komentarzy nowych prawodawców, czucie jej nie zastagnie w studiach anatomicznych i patologicznych. Kobieta zawsze kochać będzie poezję, które kołysały pierwszą jej młodość, jej nawet pogrążonej w najzwyczajniejszej prozie życia, ideał wiecznie uśmiechać się będzie, i to co jest prawdziwie pięknem, nie będzie potrzebowało być dla niej wyrozumowanym, ażeby wiecznie pięknem pozostało. Dla tych przeto kilku wytrwałych pracowników, co z powodu publicystyki i studiów utilitarnych nie porzucili jeszcze szczerzych literackich zajęć, kobiety nasze stanowią najszlachetniejszą, jedyną może część publiczności, na której uznanie, na której przyklask liczą. Niechże więc im nie odmawiają swego poparcia, bo jak się i one zaborą wyłącznie do studiów nad akcjami, spółkami przemysłowymi, naukami ekonomicznymi, rolnictwem, cukrowarstwem i nie wiem czem jeszcze, to już chyba dla literatów naszych nie będzie zbawienia na tym polskim świecie. Powiedzieliśmy to z okazji dam kieleckich, ale nie do nich wyłącznie.

Prawdziwą przyjemność sprawiła nam Gazeta Polska drukowaniem w odcinku swoim najnowszej powieści Wiktora Hugo. Przekłady znakomitszych dzieł z obcych języków wielce są potrzebne, chociażby dla przekonania nas, że niezawsze zgodni jesteśmy z prawdą, wynosząc zbyt wysoko własną zasługę, a patrząc z góry i pogardliwie na to czego inni dokonali albo dokonywają. Weszło u nas w zwyczaj zbyt lekko traktować utwory literackie pojawiające się na Zachodzie i samychże tam piszących. Często sądzimy z tytułu, często z pokątnego jakiego albo stronnego sprawozdania, i potępiamy jako bazgracza autora, którego dzieł nie znamy prawie. Jestto może zbyt silne oddziaływanie za dawny nasz zapał do zagranicznych płodów.

Nazwisko i sława Wiktora Hugo chronią go od takich przedwczesnych sądów. Powieści o której mowa nie znamy jeszcze i zapewne w języku polskim przyjdzie nam pierwszą z nią zabrać znajomość. Nie dziwie się więc że pragnęlibyśmy ażeby przedstawienie to było ile możności najdokładniejsze i w najlepszych obmyślanych warunkach. Otóż zadajemy sobie pytanie, czy samo już przetłumaczenie tytułu: „Nędznicy“ nie jest mylnem. Francuzkie *misérables* podwójnie da się przełożyć: znaczy nędzarzy mienia i nędzarzy serca, umysłu, ducha, nędzę materialną, lub nędzę moralną. Czy jedną czy drugą stronę tych ludzkich niedostatków autor zamierzył malować, czy też obiedwie razem, o tym dopiero przekonamy się z przeczytania całego dzieła; w każdym jednak razie *nędznicy* zdaje nam się zbyt dowolnym oddaniem francuzkiego wyrażenia, bo tylko jedną stronę objaśnia. Sądzimy że *nędzarze* byłoby lepiej. Jeżeli tam o ubogich, o nieszczęśliwych będzie mowa, to nie można ich *nędznicami* mianować.

O świętości języka wielu u nas mówi; z tym wszystkim mało gdzie właśnie tyłu się znajdzie świętokradców co u nas: na każdym kroku ich spotkasz. Nie mówię już o tych ministrach, którzy *oktrojują* (!) prawo wyborcze, ale świeżo pod kopią arcydzieła, które na tyle egzemplarzy w kraju się rozeszło, pod litografią Barbary Simmlera, daną jako *premium* członkom Towarzystwa sztuk pięknych, znajdujemy w podpisie dwa grube błędy ortograficzne. Niechaj tylko komitet Towarzystwa sztuk *pięknych* (!) nie bierze nam tego za złą wolę; wszak wielokrotnie już dowiedliśmy jak wysoko cenimy znakomitą użyteczność i konieczną potrzebę tej instytucji; ale nie idzie za tym żebyśmy tolerować mieli tak dziwny rozbrat pomiędzy sztuką i ortografią. Nie może być tłumaczeniem dla komitetu, że litografią tu wykonaną, posłał do odbicia zagranicę. Podług nas, kiedy rysunek dał się tak pięknie wykonać namiejsu, to i z odbiciem można było dać sobie radę, a choćby nawet wypadło

ono troszeczkę gorzej, obowiązkiem było właśnie komitetu dać w tej mierze dobry przykład i nie popierać owego pomiatania miejscową pracą, przeciwko któremu właśnie towarzystwo z całych sił swoich walczy. W każdym jednak razie należało przynajmniej ściśle dopilnować korekty, i nie dozwolili żeby rażące błędy spęciły tak piękną pamiątkę.

A teraz dotknąć mi przychodzi rzeczy gdzieindziej oddawna praktykowanej, ale u nas będącej niemal zupełną jeszcze nowością.

W Niemczech istnieje zwyczaj, że profesorowie wybierają uczniów zdolnych, pracowitych i niezamożnych, uczniów którzy się odznaczyli w naukach, i ci uczniowie otrzymują *honorowe* obiady, to jest bywają peryodycznie zapraszani do stołów najszlachetniejszych rodzin miejsca gdzie szkoły są pomieszczone i tam stanowią jakby część rodziny. Rozumię się że uczniowie ci są albo sieroty, albo oddaleni od swoich krewnych i nie obfitujący w środki utrzymania się. Tego rodzaju zaproszenia w niczem nie są dla nich upokarzające, owszem stają się one pewnym odznaczeniem zaszczytnem, bo jest to dowód, że obywatel pragnął ocenić i uczcić przyszłych użytecznych członków wielkiej społecznej rodziny. Otóż zachodzi pytanie czyby i u nas podobnego rodzaju urządzenie nie mogło mieć miejsca. Takie honorowe zaliczenie do grona rodziny w niczem nie mogłoby uwłaczać pracowitym a niezamożnym uczniom, którzyby w ten prawdziwie przyjacielski sposób przekonali się o współczuciu jakie ich otacza; a nie wątpimy że znalazłoby się tu wiele domów obywatelskich w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, któreby chętnie przyjęły na siebie ten braterski obowiązek. Wiadomo nam nawet że już zawiązało się pewne towarzystwo, które zebrało pomiędzy sobą podpisy na całoroczne obiady. Idzie więc tylko o wyszukanie takich, którzyby chcieli przyjąć tę serdeczną ofiarę. Fałszywy wstyd byłby tu nie na swoim miejscu, bo wszyscy przeciw stanowimy jedną rodzinę, połączeni uczuciami, myślą i jedną wielką miłością; złe i dobre w życiu winniśmy dzielić ze sobą! Bogdajby więc słowa nasze nie obróciły się na marne, bogdajby myśl ta, jeżeli wejdzie w czyn, stała się nowym ogniwem przyjaźni i braterstwa, które już znaczną część naszego społeczeństwa łączy z sobą, a wprędce i całość nierozdzielnie spoić winny.

Notabene, przypominam jeszcze, że *spoić* nie znaczy *upoić*, bo są niestety tacy, którzy wzięli za myśl zasadniczą *upoić* tę całość i wszelkie ku temu czynią usiłowania. Ale tych zostawiamy na pastwę ostrygom, które już się psuć zaczynają, i wywietrzałem szampańowi.

Przy wzrastającej coraz bardziej dążności wydawania książek ludowych, może będzie na dobie przypomnieć, że w roku 1817 czy 1819 wyszło dzieło z polecenia ówczesnego ministerstwa oświecenia pod tytułem: „Nauka dla włościan“, dzieło odpowiadające pojęciom i potrzebom naszego ludu, którego wydanie warto teraz ponowić. O pisarzy ludowych trudno, bo chcą pisać dla ludu, trzeba z nim żyć, przejąć się jego charakterem, usposobieniem, a tego się natchnieniem nie nabędzie, i najznakomitszy talent nie podola tu bez długiego doświadczenia i wytrwałości. Więc kiedy już mamy gotowe dzieło odpowiadające tym wszystkim warunkom, korzystajmyż z niego, zwłaszcza że, jak sądzimy, nikt się nie będzie sprzeciwiał nowemu wydaniu.

Dawno nie daliśmy już literackich nowin. Nie pochodzi to z braku dobrej woli, ale z tej wyłącznie przyczyny, że ażeby pisać, potrzeba mieć koniecznie o czem. Dziś jednak możemy brak ten choć jako tako załatać. Więc najprzód donosimy, że drukuje się tom IV i V „Rozrywek dla młodocianego wieku“, pod redakcją Seweryny z Żochowskich Pruszkowej. Tomy te zamkną seryą 3cią tego pisma, którego całość składa się z 15 tomów. Pomiedzy wielu artykułami, umiejętnie zastosowanemi do pojęcia i potrzeb młodocianego wieku, znajdują się tam życiorysy Franciszka Morawskiego i Ewy Felińskiej.

Staraniem Aleksandra hrabiego Przezdzieckiego w pięknym bardzo wydaniu wyszedł tekst łaciński kroniki Kadłubka, wraz z przekładem polskim. Obszerna rozprawa p. Przezdzieckiego obejmuje opis krytyczny samegoż rękopisu. Książka ta drukowana w Krakowie, a wydanie takie, do jakich nie jesteśmy tu przyzwyczajeni, druk bujny, okazały, papier gruby i biały. U nas z takim papierem nie spotkać się. Oprócz innych przymiotów, dzieło to zaleca się nader przystępną ceną.

Pan Cels Lewicki, księgarz tutejszy, dla dogodzenia żądaniom włościan, którzy przenoszą oprawne nad nieoprawne książki, zrobił wielki zapas dziełek ludowych i już je oprawne sprzedaje. Warto żeby inni księgarze ten praktyczny przykład naśladowali.

Za pośrednictwem kroniki naszej pewna Lublinianka odzywa się do Polek z prośbą, ażeby czynnie popierały myśl założenia ochronki w Irkutsku.

Dodajcie, woła ona, do innych zasług swoich i tę jeszcze, pomyślcie że nieszczęsne sieroty wzywające litości naszej, są dziećmi tej samej ziemi, na której myśmy urosły. To bracia nasi, to małe siostrzyczki wyciągają do nas rączka po jałmużnę, nie oświecenia moralnego, ale pierwszych prawd wiary, nie nauki, ale koniecznych wiadomości. Czyżbyśmy mogły obojętnie na to patrzeć, czyżbyśmy śmiały marnować na fraszki pieniądze, któremi tyle łez otrzeć, tyle dobrego zrobić można?

„O siostry moje! chciejmy tylko szczerze przyłożyć się do tego, nie mijajmy obojętnie nastęrczającej się sposobności, niech nikt i nigdy nie powie, żeśmy się zlekły poświęcić, żeśmy się usunęły od spełnienia najświętszego obowiązku.

„Niech więc Bóg błogosławi pracy cnotliwego kapłana, co pierwszy zajął się spełnieniem tej myśli, a my, każda tém czem może, w imię wiary, w imię miłości poprzyjmy jego usiłowania.“

Do tych słów prawdą i uczuciem wymownych nie odważamy się nic dodać z naszej strony. Co z serca pochodzi, do serca trafić winno.

Wiele już, wiele razy w tych sprawozdaniach pióro nasze zaczęło o grób świeżo otwarty, o imię przed kilku zaledwie dniami wykreślone z liczby żyjących. Dziś święta znów daninę szczupła rodzina artystów naszych spłacała śmierci. Emilia Ziemnińska umarła po długiej słabości, którą już od dwóch lat prawie lekarze za nieuleczoną uznali. Szkoda jednej ze zdolniejszych naszych artystek, szkoda wytrwałej pracowniczki, szkoda tej, która zawsze była gotową, nawet pod ciężarem dotykającej ją już niemocy, osobą i talentem wspierać usiłowania do dzwignięcia sceny naszej. We właściwym sobie zakresie rolę, pani Ziemnińska z bezprześcannem i stałym występowała powodzeniem. Role tak zwanych wyższych kobietek najlepiej się jej udawały. Wedle potrzeby teatralnej, rozszerzała ona ten zakres, a rozumna, ukształcona, pojętna, i w kilku innych rodzajach była wielce użyteczną dla sceny. Zaledwie pierwszą połowę zawodu swego teatralnego zdołała ona przebiec, bo sił zabrakło na dalszą walkę z ciężkim nieraz i przykrém życiem artystki. Dowcipna, gościnna, towarzyska, pani Ziemnińska świadczyła przytém wiele, więcej nieraz niż dozwalały środki majątkowe, a śmierć jej osierociła wielu ubogich. Do każdego szlachetnego uczynku, zwłaszcza w dziedzinie sztuki, chętnie przykładała rękę. Szkoda artystki, niemniejsza szkoda kobiety z niemałym wykształceniem, z rzadkim dowcipem, a prawdziwie i rozumnie dobrą.

Jako dowód wzrastania przemysłu krajowego, posłużyć może przesliczny puhar, wyrobiony w fabryce złotniczej pana Malcza, a ofiarowany jednemu z Józefów, których tak wielu u nas w zaprzęszą srodę obchodziło imieniem. Piękny rysunek, staranne wykonanie ozdób, a mianowicie szlachetność i prostota zalecają tę robotę. Wspominamy o tej małoważnej zkadnąd okoliczności, z powodu że wyroby tego rodzaju wkraczają już w granice sztuki, sztuki Cellinich i Froment-Meuriceów, która dotąd u nas, jak wiele innych, była jeszcze w pieluchach.

Charakterystyczną bardzo wiadomością czerpiemy z listu jednego z naszych miejskich korespondentów.

„Przed kilku dniami, pisze korespondent, zaszedłem do jednego z księgarzy przy ulicy Krakowskiej-Przedmieście, celem kupienia potrzebnych mi książek. Wtem drzwi się otwierają, i wchodzi, o *dziwo!* a raczej o *radości!* wiejska kobieta, po prostu chłopka, i oddaje księgarzowi jakiś pakiecik, prosząc go w najserdeczniejszych wyrazach, aby był łaskaw zająć się oprawą książki w tym pakieciku zawartej, którą niedawno u niego kupiła dla swego syna. O cuda! w tak krótkim przeciągu czasu, taka zmiana, taki postęp! Parę miesięcy wstecz patrzeć na książki imi kupione nie chcieli; na tych co ich oświecać pragnęli, obelgi miotali i przekleństwa; a teraz sami, za własne, krwawo zarobione pieniądze kupują książki i jeszcze je oprawiać każą, by się „nie niszczyły“, jak wyrzekła ta chłopka, którą dziś u księgarza widziałem. Zaiste, widoczna w tém pomoc Boża. Jemu więc dziękować winniśmy, Jego błagać, by nas z opieki Swój nie wypuszczał, i tego szczęścia nam dostąpić dozwolił, byśmy z chłopów naszych, tak jak inne narody, oświeconych i kraj miłujących obywateli mieć mogli. Modląc się zaś do Boga, powinniśmy go prosić zarazem o wytrwałość i cierpliwość (na której niejednemu z naszych pp. obywateli zbywa), w oświecaniu młodszą braci, a wszystko pomyślnie pójdzie.“

OSTRÓG.

Z prawdziwą przyjemnością oko podróżnego, znuzone widokiem przetrzebionych lasów sosnowych, wita piękną okolicę, nad którą majestatycznie rozsiadł się nasz starożytny Ostróg, z malowniczymi ruinami dawniejszej swój świętości i potęgi. Nędzna ta bowiem nateraz miejscina, była niegdyś siedzibą udzielnych książąt Rusi, a później przez czas pewien przewodniczyła oświatą Wołyniowi. Nieśluszenie pp. Baliński i Lipiński usadowili to miasteczko nad Horyniem, gdyż rzeka ta płynie o wiorst parę od Ostroga, który właściwie nad Wilią^(*) leży. Rzeczka ta oddziela stare miasto od nowego, chociaż to ostatnie zaledwie przedmieściem nazwać można, a później wieniec je swym otacza, i dopiero na obszer-nych błoniach po za Ostrogiem leżących zlewa się z Horyniem.

Ostróg, będący dziś własnością ks. Artura Jabłonowskiego, do niedawna jeszcze znacznym ożywio-ny był ruchem,—tu bowiem zbierały się handlowe i portowe trakty z rozmaitych punktów kraju naszego, a mianowicie: z Warszawy, Odessy i Kijowa; lecz ruch ten ustał z przeprowadzeniem bi-łej drogi o kilka mil po za Ostrogiem. Jedyną dziś spuścizną dawniej jego sławy, są szczątki wspaniałego niegdyś zamku, w którego ostatekach mieści się obecnie sąd powiatowy. Niejeden właśnie z tego powodu je odwiedza, a odwiedziny te sownie się wyplacają, bo okazałe ruiny i piękny dają widok na okolicę. Jedną z baszt for-tyfikacyjnych, ostatek cerkwi zamkowej i część mieszkalnego zamku, w której się sąd mieści, oto co z nich pozostało.

Rzuciwszy okiem na miasteczko, wszędzie napotykamy smutny obraz zniszczenia; ruiny więc same podróżnego zając tylko mogą. Tam w dali widzisz dwie okrągłe, wyniosłe baszty, stanowiące część dawnych for-tyfikacyj; tu ogromne zwałiska kościoła, gdzie spoczywają zwłoki Jana Karola Chodkiewicza, a u stóp prawie zamkowego wzgó-rza ostatek kościoła karmelickiego, lecz te, nie-estety, ręka spekulanta w większej części po ce-gielcerozebrała. Przy dro-dze prowadzącej z Ró-wnego, stoi piękny ko-ściół kapucynów, ale i na nim znać niszczące wszystko działanie ludzkiej chciwości. Ponad ob-szernymi łąkami ciągnie się ulica Tatarska, zwa-na tak od jeńców tatar-skich, osadzonych tu na początku XV wieku przez Konstantego ks. Ostrogskiego. Mieszkańcy Ostroga pokazują także trzy studnie zasypane, które

podczas wojen Chmielnickiego, zapelnione zostały ciałami umęczonych szlachty i Żydów.

Cóż więcej można powiedzieć o teraźniejszości Ostroga? Chyba to tylko, że o kilka od niego wiorst jest pierwsza przystań na Horyniu, który właśnie od te-

swych wspominają o tym grodzie. Opierając się więc na nich, przejrzyjmy jego przeszłość. Czytelnicy Ty-godnika Ilustrowanego, który tak sumiennie wywią-zuje się z przyjętego obowiązku odtwarzania nam pa-miątek ojczystych, zapewne będą mi wdzięczni, że ich uwolnię od szperania po historycznych księgach. A więc do rzeczy.

Najdawniejszą o Ostro-gu wzmiankę znajdujemy pod r. 1100, w którym dostał się Dawidowi Igo-rowskiemu, byłemu ks. włodzimirskiemu, mocą podziału między książętami ruskimi w tym ro-ku uczynionego. Miasto to dało później swą na-zwę znamienitej rodzinie książąt na Ostrogu, któ-rzy niejednokrotnie za-służyli się ojczyźnie *in armis et toga*. Pierwszy księżciem na Ostrogu za-czął się pisać Daniel Wa-silewicz, synowiec Danie-la króla ruskiego. Jagiełło, będąc w Łucku r. 1386, nadaje przywilej Fiedo-rowi Daniłowiczowi i je-go potomkom na zamek ostrogski z przyległościami (castrum Ostrogów cum districtu), pod wa-runkiem czynienia służby ze swymi ludźmi rzeczy-pospolitej i królowi, a po-nowiła ten przywilej kró-lowa Jadwiga w Krako-wie r. 1393 temuż Fiedo-rowi. Najgłośniejszym z tej znamienitej rodzi-ny stał się Konstanty, hetman wielki litewski, kasztelan wileński, zmar-

go punktu spławnym być poczyna. Pszenica i drzewo nasze idą ztąd co roku prawie do Gdańska; Ostróg przeto byłby punktem bardzo dogodnym do utworze-nia domu handlowego lub domu zleceń. Lecz próżna nadzieja! Okoliczni właściciele śpią twardo po sma-

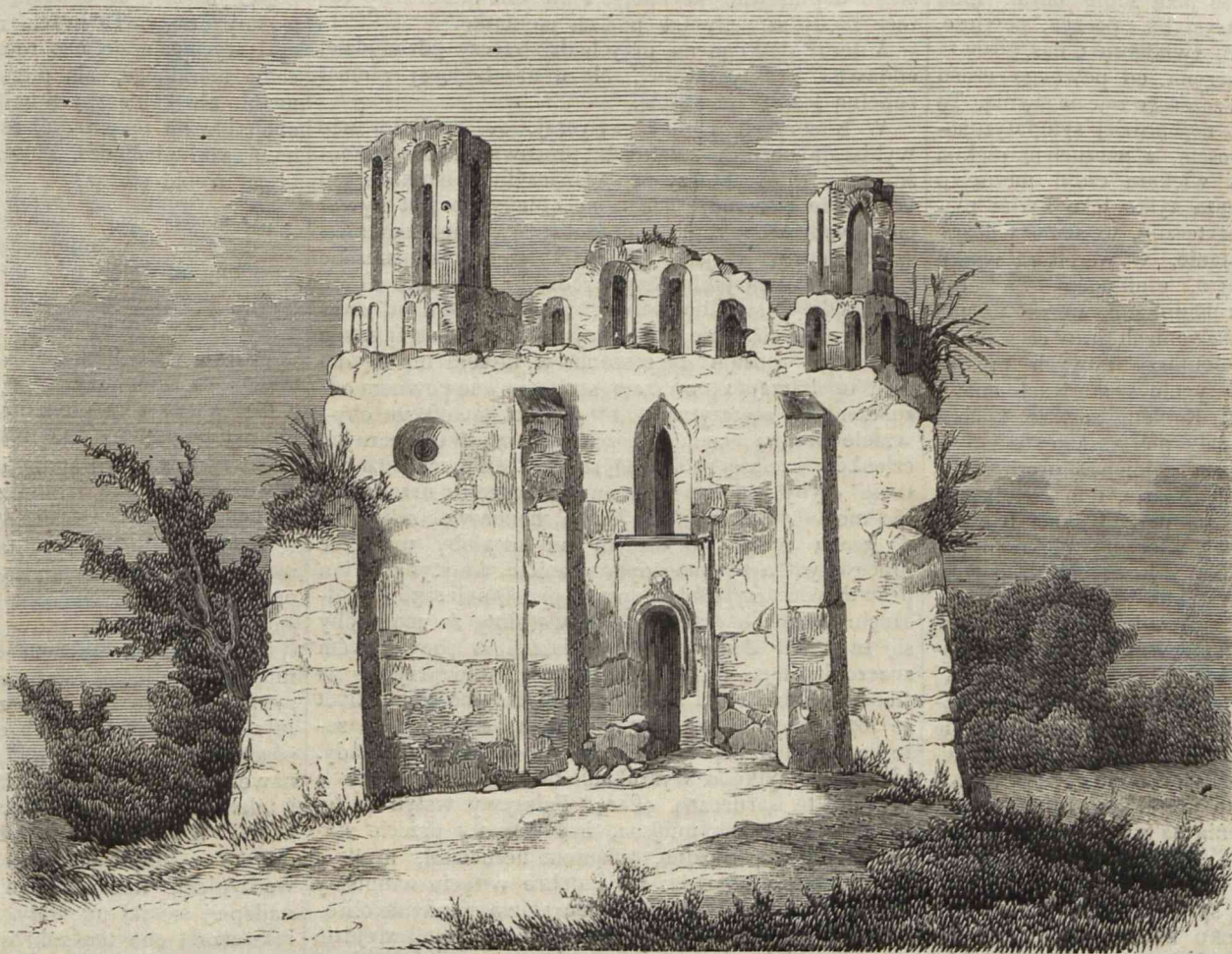
ły w 1533 roku. Mąż ten, jak mówi Niesiecki, 33 bitew wstępnych wygrał, a w dwóch tylko był porażony: raz pod Wiedrozą, gdzie został wzięty do nie-woli przez Iwana III Wasilewicza, drugi raz pod So-kalem przez hufce Tatarów. Słynnym jest jego zwy-cięstwo pod Orszą w r. 1514, gdzie na 80,000 nieprzyjaciół, 40,000 zo-stało na placu. Pogromił także Tatarów pod Wi-śniowcem, Słuckiem, Kamieńcem, Pińskiem i t. d. Syn jego, Konstanty Ba-zyli, wojewoda kijowski, marszałek wołyński, jak chcą niektórzy, zacięty przeciwnik unii kościoła greckiego z rzymskim, wiódł życie nader wy-stawne, na co mu po-zwalały dochody jego, przechodzące 10 milio-nów złotych tegoczesnych. Założył on szkołę w Ostro-gu pod nazwą akademii, nad którą dozór oddał Erazmowi Smotryckiemu. Z polecenia tegoż Kon-stantego, w drukarni przez niego założonej w Ostro-gu, dyakon Iwan Fiedo-row, wypędzony z Mo-skwy za czary (sztukę dru-karską), wydrukował r. 1581 pierwszą biblią kompletną w języku słowiańskim, pod kierun-kiem Smotryckiego.

Zamek ostrogski był świadkiem tragicznej sce-ny porwania Halszki ks. Ostrogskiej, córki Eliasza i Beaty z Kościeleckich, przez Dymitra ks. San-

cznych obiadach swoich, a o sprawie publicznej nikt prawie nie zamarzy.

Dość już o teraźniejszości, bo Ostróg to przeszłość; pośmiertne hymny śpiewać mu potrzeba. Baliński i Lipiński, Święcki, Paprocki i wielu innych w dziełach

guszkę; wypadek ten służy za jeden z licznych do-wodów, do czego duma i wyuzdana swawola naszych magnatów dochodziła. Anna z książąt Ostrogskich Chodkiewiczowa fundowała tu kolegium jezuickie, gdzie, jakem już wyżej wspomiał, spoczywają zwłoki zna-



ZWALISKA ZAMKU OSTROGSKIEGO OD STRONY PÓLNOCNEJ. (Rysował na drzewie Podbielski).



ZWALISKA ZAMKU OSTROGSKIEGO OD STRONY POŁUDNIOWEJ. (Rysował na drzewie Podbielski).

(*) U dawnych pisarzy Welia; ztąd wnoszę że rzeka ta w starożytności bogini Wellonie poświęconą była.

(Przypisek autora).

OBRAZY KRAKOWSKIE.

(Dalszy ciąg.)

Wesele w Czernichowskiem.

Słońce paliło lipcowym skwarem, najmniejszy powiew nie orzeźwił dusznego powietrza, a tumany kurzawy nienajprzyjemniejszą czyniły pieszą wędrowkę. Przecież, nie zważając na te małe niedogodności, szedłem swobodnie ścieżką wydeptaną obok gościńca.

Po prawej stronie piętrzyła się srebrna góra bielańska, dźwigając na grzbiecie mury kamedulskiej pustyni; po lewej Wisła płynęła wspaniale; za nią na skalistym wzgórzu szarzały resztki opactwa tyńnickiego, sterczały wieże kościoła, a w oddaleniu Lanckorona i Kalwarya. Widok ten w miłą wprawił mię zadumę, i oddychając pomimo kurzu pełną piersią, z roskoszą wpatrywałem się w ten cudny świat Boży. Szczęśliwa młodość! ona nie zważa na upał, znoj, utrudzenie; wszystko to znosne a nawet powabne i miłe, a stokroć miłsze temu, co wysiedziawszy się przez rok w ponurych salach uniwersyteckich, wybiegnie w czasie wakacyj odciechnąć na szerokim świecie.

Zwykle co rok odbywałem takie wędrowki, chcąc poznać w wszystkie zakąty okręgu dawnej rzeczypospo-

litéj krakowskiej. Już poznałem piękne okolice Krzeszowic, Tenczyna, Czerny i Nowej góry, zwidziłem kopalnie Sierszy, Jaworznia i Lgoty, w zeszłym nawet roku zapuściłem się do Ojcowia, Grodziska i Pieskowej skały, leżących po za granicami naszego dro-

zwidziłem Lanckoronę, Kalwaryę, Zator i Tyniec, a kiedyś, gdy szczupłe zasoby studenckiej kasy dozwolą, puścić się w Tatry, w te zaczarowane Tatry, na które tylekroć spoglądałem z tęsknotą i marzyłem o nich, jak Kolumb o odkryciu nowego świata.

komitego męża Jana Karola Chodkiewicza, hetmana w litewskiego, wojewody wileńskiego, zmarłego w wyprawie chocimskiej 24 września 1621 r., a pochowanego w Ostrogu r. 1622 w kościele farnym, z kąd został przeniesiony do kościoła jezuickiego w r. 1624.



Wyprowadziły pana młodego, ujawszy go pod ręce i śpiewając. (Układ i rysunek Kostrzewskiego).



Błogosławię wam, moje dzieci, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. (Układ i rysunek Kostrzewskiego).

Po zmiesieniu zakonu jezuitów, założyli tu szkoły bazylianie i utrzymywali je do r. 1793. Następnie urządzono w Ostrogu seminarium greckie, które przeniesionem zostało do Annapola w r. 1821. Smutno wspomnieć doprawdy, że miasto to, mające niegdyś akademią, drukarnią, kolegium, szkoły, seminarium, dziś, w połowie XIX wieku, wieku postępu i cywilizacji, zawiera w sobie tylko nędzną powiatową szkołę o 3ch klassach, liczącą zaledwie trzydziestu kilku uczniów.

Janusz kasztelan krakowski, pierwszy z rodziny Ostrogskich przyjął katolicyzm i ustanowił w r. 1609 ordynacją, zaprzysiężoną r. 1618 na trybunale lubelskim, która po wygaśnięciu ks. Ostrogskich, przeszła do ks. Zasławskich. Ze śmiercią Aleksandra księcia Zasławskiego r. 1673, ordynacja dostała się w ręce Józefa Lubomirskiego, od którego przeszła do Pawła Sanguski; nakoniec syn tego ostatniego, Janusz ks. Sanguszko, marszałek nadworny litewski, mocą tranzakcyi kolbuszowskiej 1753 r. rozdał rozległe dobra ordynackie pomiędzy rozmaite rodziny. Sam Ostrog dostał się w ręce Małachowskiego, kanclerza koronnego, lecz niedługo w tej rodzinie pozostał, gdyż Stanisław Małachowski, syn kanclerza, sprzedał go Tadeuszowi Czackiemu. Czacki wreszcie odstąpił ten gród starożytny Jabłonowski, którzy obecnie mają tu dosyć piękne mieszkanie z ogrodem.

Zygmunt Radziwiński.



Nie masz ci to, nie masz jako parobczek . . . (Układ i rysunek Kostrzewskiego).

bniuchnego państwa. Teraz przyszła kolej na poznanie stron jego południowych. Klasztor bernardynów w Alwernii, zwaliska zamku lipowieckiego, Bóbrek, w którym niegdyś dzielnie trzymali się konfederaci, oto cel mój wycieczki. Na rok przyszły zamierzałem

Były to dotąd tylko gorące chęci; ale cel trudny do osiągnięcia, bo na to trzeba było zgromadzić około półtora złota, a podobnej summy nigdy jeszcze w życiu nie zawierał mój skromny woreczek.

Patrząc na ów oddalony cel moich życzeń, wpadłem w smutne usposobienie i mściłem się nad nieprzyjnym losem, scinając żółte główki mleczu rosącego w przykopie obok ścieżki.

Z tych dumań wyrwał mię nagle turkot toczącego się gościńcem wózka. W pośrodku siedział jakiś stary włościanin, z czernichowska ubrany. Granatowa długa kapota, ściśnięta czerwonym wełnianym pasem; z polska zawiązany; z pod niej wyglądał kaftan, niby żupan, mosiężnymi guziczkami zdobny; kapelusze dość wysoki, spiczasty, okrażony szeroką aksamitką na srebrną sprzączkę spiętą, dopełniał ubioru. Jechał zwawo, lecz dosięgłszy spodu bielańskiego wzgórza, zsiadł z wózka i idąc obok niego, zwolna wstępował na dość stromą wyniosłość.

Teraz mogłem mu się przypatrzeć z blizką: ogórzała twarz lecz miła, rysy wydatne, wos siwy ocieniał górną wargę, włosy długie, białe spadały mu na kark; lecz co mię najbardziej zajęło, to głęboka blizna na prawym policzku. Z kąd ona się tam wzięła? Wprawdzie nasi włościanie lubią za młodu staczać zacięte bijatyki, lecz nigdy znowu tak strasznych nie zadają razów; blizna ta widocznie nie pochodziła od uderzenia kółem z płotu. A nużby to był jakiś stary

wojak!... Na tę myśl postanowiłem zbliżyć się do starca i spróbować czy mi się nie uda dowiedzieć o przyczynie tej głębokiej szramy.

Lecz nie tylko ciekawość nakłaniała mnie do tego; uszedłem już przeszło milę, w południe upał najcięższy, a siedzenie na wózku wydawało mi się roskosznym. Miałem jeszcze cztery mil drogi przed sobą; nie dziw przeto że przejechanie części pielgrzymki na wozie wdzięcznie mi się uśmiechało. A może też on z Poręby lub Kwaczaly? wyborna sposobność i ulżenia trudom, i zaspokojenia ciekawości. Nie namyślając się więc długo, zatrzymałem się na drodze i uchyliwszy słomianego kapelusza, rzekłem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen, odrzekł, czyniąc podobnie.

— A zdaleka gospodarz?

— Od Czernichowa.

— Z której wsi?

— Z Kłokoczyna.

To źle, pomyślałem, nie na mojej drodze, ale zawieszonożby ujechać tęgą milę do Liszek.

— A gdzie panosko idzie? zapytał Czernichowianin.

— Ku Alwernii.

— Ho, ho! na Lubernią jeszcze tęgie cztery mile, nie wiem czy zdążyć tam na noc.

— Gdyby mnie gospodarz zabrał do Liszek, toby się droga skróciła.

— A niech pan siada, toć mi tam wózka nie ubędzie.

— Dziękuję gospodarzowi, ale siadę dopiero na górze, bo na konie ciężko.

— Siadziemy oba i pojedziemy razno, bo już żadnej góry niema na drodze. — A czy pan za jaką służbą?

— Nie, mój gospodarzu, tak sobie chodzę od wsi do wsi, dla obejrzenia kraju. Teraz mi wypada zwidzieć Alwernią i Lipowiec, bom tam jeszcze nie był.

— Hm, toć pan pewnie student.

— A jakżeście to poznali?

— O! ba, toćem nie dzisiejszy. Któżby za takimi próżniakami gonił, jeśli nie studenci; wysiedzi się biédactwo bez cały rok w szkole, to ano potem goni gdzie tylko może. Mam i ja wnuka w drugiej klasie u świętej Barbary w Krakowie; jak przyjechał na wakacje, to ani go zagnać do jakiej roboty, jeno po całych dniach goni po lesie za jagodami, albo za ptastwem. — A z których pan szkół?

— Ja chodzę do akademii.

— Proszę, taki młodzieński, a już w akademii. Szkoła że to pan nie jedzie przez Kłokoczin, bobym prosił żebyście zobaczyli czy też Wojtek nie je za darmo chleba w szkole.

— O, toż z powrotem mogę wstąpić do was, mój gospodarzu.

— No, siadajno pan na wóz, bo jużeśmy na wierzchołku.

Usiedliśmy, a wózek potoczył się szybko z góry.

Po chwili, chcąc sobie zjednać swego towarzysza, poczęstowałem go cygarem, sam zapalając drugie.

— Bóg zapłać, rzecze, ale co prawda, to te cygara nic nie warte. Jeszcze to tam tak jak paniczowi w drodze, to ujdzie, ale na wojnie niema jak fajka.

— To gospodarz służył w wojsku?

— Ho, ho! kupa temu lat, blisko ze czterdzieści.

— W jakimże?

— O w jakim, juści nie w żadnym jeno w polskim, boć przecie wtedy u nas do Austryaka nie brali. Służyłem pod księciem Józefem, a gdzim ja był, to tam panicz nie byłeś i pewnie nie będziesz.

— Czy gospodarz sam przystał do wojska?

— Tak ci to niby sam, niby nie; boć to wtedy tak wyszło od samego Napoliona, żeby z każdej wsi dostawiać żołnierzy na tę wielką wojnę w dwunastym roku. Otóż nasz pan, bośmy wtedy byli pod dzierzawcą, rzeknie mi: Słuchajno Macieju! z Kłokoczyna wypada dać jednego piechura do księcia Józefa, możebyś ty poszedł? — Cobym nie miał iść, mówię, albo ja to pierwszy czy ostatni? Pójdę, alebym wolał do konnicy, bo od młodu służyć do koni. — Ha kto wie do czego cię przeznaczają; idź do Krakowa, dam ci karteczkę, a jak się zameldujesz u prefekta to go prosz żeby przemówił do którego ze starszych, to cię zrobią ułanem.

— No i jakże, zapytałem, przyjęli gospodarza do ułanów?

— Ba! gdzie tam, we wojsku przebierać nie można, dali mi do piechoty.

— I długoście służyli?

— Cztery lata blisko. Nawłoczył się człek niemało; byłem pod Wilnem, pod Smoleńskiem, potem nas zwrócili do Gdańska, potem znowu do Saksonii, pod Drezno, pod Lipsk, wreszcie zagnali do Francji, ale jak Napolion zbankrutował, takżeśmy też wrócili na-

zad do Polski. Insi się zostali przy wojsku, ale ja wróciłem do wsi, bom się do krzty sterał, a najbardziej mi przeszkadzała rana, co się wciąż odnawiała na nodze, tak że kilka razy musiał na nią w lazarecie leżeć, a nijak się zgoić nie chciała.

— Więc gospodarz był dwa razy ranny, bo i na twarzy widzę głęboką bliznę.

— Ba, żeby to dwa razy, toć to jeszcze nic; alem już miał takie nieszczeście, że mię bezmała ani razu nie chybiło. Najprzód pod Smoleńskiem, jak mię kula uderła w głowę, to siedem niedziel na nią wyleżałem, a nic jeść nie mogłem, jeno rosół mi wlewali po łyżeczce, a com połknął, to m do bólu wszystkich świętych ujrzał. Potem pod Gdańskiem jakieś Prusaczysko dźgnęło mię w lewe ramię bagnetem. Ledwiem się wylizał, masz znowu pod Kulmą. dostałem kontuzji w to samo ramię. Wygrzebałem się prędko, boć to tam jakoś niebardzo mię wzięło; dopiero jak mi zdrajca kartacz wyrwał kawał mięsa z nogi pod Lipskiem, takem już myślał że Bogu ducha oddam. Poczęstwy kumoter z Liszek ujął się za mną i przecie mię zabrali ze sobą, bo gdyby nie to, toby mię dostał do niewoli; ale mię dowlekli do ambulansu, opatrzyli i zabrali na furgon. Wyleżałem się trzy miesiące w Majncu, a potem znow przyszedłem do pułku i już tak aż do końca wybyłem.

— A jakże się gospodarzowi wydawała wojaczka?

— Z początku jako tako, ale kiedym piérwszy raz usłyszał strzelanie, jak wzięły granaty pękać, a kawał skorupy uśmiercił mego kamrata z Bronowie, tak mię napadła okrutna bojaźń i ledwiem się nie obalił, tak mię nogi dygotaly. Było to pod Smoleńskiem, a stał przy mnie stary wążacz, co tam gdzieś po Hiszpanii przez cztery lata wojował, a nawet był za morzem z Napolionem, kiedy jeszcze był jeneralem; bo przecie pan wiesz, że Napolion z prostego żołnierza dosłużył się aż na cesarza, Otóż ja dygotam, zębę mi kłapią, jakby było dwadzieścia stopni mrozu, a wążacz mi prawi: „Cóż, rekruckie mięso, trzęsiesz się jak osina? kiedy ci zimno, to chwytaj płaszki co wedle uszu gwiżdżą, a nie trzęs się, bo się wszyscy z ciebie śmieją.“ Tak mię okrutna żalność zdjęła, i myślę sobie: a cóż za taki bestyjski tchórz ze mnie, toć ja tu, wszystkim Krakowiakom narobię wstydu. Więc rzeknę onemu wążalowi: „Panie Bartłomieju, bóje się Boga, palnijcie mi w łeb, bo na żaden sposób nie mogę strachu przepomódz, a radbym się skryć pod ziemię ze wstydu, że taki jak ostatnia baba.“ Tedy wążacz się roześmiał i prawi: „Nie bądź głupi. Każdy człek ma mięso, to się o nie boi, póki raz i drugi nie spróbuje kulki albo bagnetu. Jak skokniesz do Wisły, to cię zrazu dreszcz obejmie, a potem miło ci we wodzie. Otóż jak parę razy będziesz w batalii, to ci potem pójdzie gładko jako przy młócce. Stój, wypręż nogi, a do manierki sięgnij, raz dwa! trzy! i basta.“ Skrzepilem się trochę, alem i tak drżał na wnętrzu; a tu nie wyszło pięć pacierzy, komenderują: naprzód! Dobrze, jakoś różnie iść niż stać na miejscu. Idziemy — naprzeciwko nas piechota. Kapitan wrzeszczy: do ataku broń! hurra! Więc pędzimy szeregami, a tamci jak wyrzną batalionem, takem jeno wrzasnął: o rany boskie! i już leżę jak długi, a krew bucha jak z bydłęcia, kula na nic mi rozdarła głowę. Masz wojaczkę, myślę sobie, i zemdląłem.

— Ale potem, to już strach was nie napadał?

— Gdzie zaś nie, jeszcze kilka razy brało mię drzenie, ale kryłem to w sobie, a prostowałem się jak na paradzie. Potem przepomogłem i tę resztkę bojaźni. Dopiero mi się to choróbko wróciło pod Lipskiem, bo ani głowa twoja na to człeku, jak tam okrutnie z armat rznęli, a ludzie padali jak pszenica pod sierpem. Drżałem i tam, ale tylko na wnętrzu, już nie tyła co pod Smoleńskiem. Złość mię brała okrutna, że człek tak stoi w miejscu i ani nie strzela, ani nie żga bagnetem; boć to jedyna pociecha bić kiedy i ciebie biją, ale stać jak kolek w płocie, to sto diabłów nie warto.

— A cóż potem, wróciwszy z wojaczki, porabialiście, panie gospodarzu? zagadnąłem po chwili.

— Chodziłem na flis, później za retmana, ożeniłem się i poczęłem budować galary, i do dziś dnia tēm się trudnię.

— I dużo też za galar wziąć można?

— Różnie, mój panie, jak do galarów: piętnaście, osmnaście, a czasem i dwadzieścia dukatów.

— A dużo się też zbuduje i sprzeda do roku?

— Rozmaicie, czasem sześćdziesiąt i osmdziesiąt, ale w tym roku dopiero czterdzieści sprzedałem.

— Toć i grosz jest.

— Ma go tam pan Jezus trochę, ale rozeszło się dosyć, bom troje dzieci wydał i wywianował, a jutro najstarszj wnuce wyprawiam wesele.

— No, to tam będzie hucznie i pięknie.

— Kieby się panu na Lubernią nie śpieszyło, a łaska była zabawić się, tobym prosił.

— Z duszy i serca, mój gospodarzu. Alwernia nie ucieknie, a radbym družbować wnuczce starego wójaka.

— Ho! co z tēm, to jakoś trudno będzie, bo družbowie już są, a potem pan krakowski, to nie potrafi po wiejsku družbować, bo u nas wesela odprawiają się po staremu, a wy tam panowie w mieście macie inakże obrządki. Ale tak na zabawę, to proszę pięknie.

Zakłopotalem się nieco moją nieświadomością, lecz nie tracąc fantazyi, przyjąłem z chęcią ofiarowane zaprosiny. Mój stary towarzysz rzucił wiązkę siana koniom przed karczmą lisecką i zapraszał mię na piwo. Podziękowałem za częstunek, a zakręciwszy się po izbie, mrugnąłem nieznacznie na propinatora i kazałem butelkę araku włożyć w siano od bryeczki, przeznaczając ją na podarunek weselny.

W półtołej godziny później byłem już w Kłokoczynie. Przed domostwem Macieja ruch był niepospolity. Pełno niedorostków i dziewcząt małych, poubieranych swiętecznie, gapilo się dokoła, czekając przybycia družbów. Skoro zajechał wózek przed dom obielony i swiężą słomą posyty, a naciętemi z boru gałęzmi ozdobiony, wybiegło kilkoro ludzi, wołając: dziadus! dziadus!

Między niemi odznaczało się młode i smukłe dziewczę, ubrane w fałdzistą spódnice, fartuch szeroki i gorsecik materyalny. Poznałem po wienku sutym na głowie, że to panna młoda. Mój widok cokolwiek ich pomieszał, co widząc dziadek, zawołał:

— Przywiozłem wam tu gości, ale się nie frasujcie, bo to nie żaden panicz, ani miejski swiszczypała, jeno student z akademii, tak jako ten co tu łońskiego roku włóczył się za przeróżnymi kwiatkami, z błaszana puszką na plecach. Niechże się z nami zostanie, a przypatrzy jako u nas ludzie po staremu się zabawiają.

Wystąpiłem tedy z oracyą do panny młodej i ofiarowałem jej buteleczkę araku kupioną w Liszkach; ale zawstydzona zakryła się fartuszkami i uciekła, zostawiając mię w śmiesznej połozeniu.

Dziadek, ujrzawszy w ręku moim butelkę, zagadnął:

— A co tam znow pan student trzyma? Może to wódka, to się na nic nie zdało, bo tu u nas strzeżliwość i wódki nie używamy.

— Nie, mój gospodarzu, to butelkę araku przywiozłem na podarunek.

— Już ja widzę że to w Liszkach kupione; a czy to potrzeba robić sobie szkodę? Ja pana prosiłem z dobrego serca, ale nie dla butelki araku, bo u nas to nic nie znaczy, a panu w drodze bez grosza ni-jako. Niechże ona sobie tu zostanie, a jak pojedziemy z powrotem, to lisecki karczmarz przyjmie ją i piędniadze odda.

— Więc gospodarz pogardza mojem dobrem sercem, zawołałem z przykrością. Ha, to już widzę i mnie samemu nierad będzie, więc lepij rozstańmy się z sobą zawczasu.

— No, no, no, rzekł poruszony tēm Maciej, nietrza sobie zaraz tak przybierać do serca. Niechże panicz zostanie, a ja darek przyjmę, jeno mi było nie na ręce, że sobie pan przemennie szkoduje.

Gospodarz rychło wyładował wóz; było tam parę baryłeczek, kilka paczek, butelek, wreszcie garść pierników, które rozdał wnukom.

— A gdzie pan drugoklasista? zapytałem.

— Kto taki?

— Wasz wnuczek studentek.

— Gdzie Jacus? zapytał córki gospodarz.

— A stoi tam między dziećmi, tylko się biédak wstydzi, bo ubrany po wiejsku, to nie śmie się pokazać panu studentowi.

— Jacus, pójdź tu! zawołał gospodarz.

Z tłumu dziatwy wysunął się niewielki, ale krępy chłopaczek, ubrany w kapotę i kaftan, czerstwy i czerwony jak jabłuszko.

— Ja tobie dam, próżniaku, zawołał z gniewem dziadek; widzicie go, jaki mi lala! Co się ty masz wstydzidz chłopskiego ubrania? czyś to jaki szlachcic, albo pan wsiowy? Że już nicpoń powąchał miasta i miał surdut na grzbiecie, to się ma za coś wielkiego. Czekajno bratku, na przyszły rok nie dam cię do szkoły, ale będziesz krowy pasał, to ci wnet państwo z głowy wywietrzeje.

Surowe to napomnienie wycisnęło lzy z oczu biédnemu chłopcu i miał wielką ochotę zemknąć, alem go przytrzymał i zaprowadził w kąć izby. Po krótkiej przemowie nabrał zaufania; poczęliśmy gawędzić o professorach, o szkole, o naukach, i tak zbiegł kawał czasu.

Tymczasem w izbie palił się suty ogień, i kilka kobiet warzyło jadlo na jutrzejszą fetę. Od Jacusia dowiedziałem się że rodziców już niema, a z siostrą i starszym bratem, co na flis chodzi, chowają się u dziadka. Marysia (panna młoda) idzie za knieciego syna z Russocic, a dziadek daje jej na wiano dwie krowy, korale, przyodziewkę za matką i tysiąc złotych gotowizną. Jacus zaś uczy się w Krakowie na księdza.

Przez ten czas stary kręcił się po izbie, wchodził i wychodził często, już wydając różne dyspozycje, już zlewając wino i miód z baryłki do gąsiorów i flaszek. Po skromnym posiłku, Jacus wyprowadził mnie do ogródka i tam prowadziliśmy dalej gawędę. Od czasu do czasu przybiegało które z rodziny, zapytując czy pan student czego nie potrzebuje. Wreszcie otworzyły się drzwi od chaty i gospodarz zawołał:

— Pójdźcie, panie studencie, bo już druźbowie jadą. Zmrok już padł na dobre, przed chatą stało mnóstwo ludzi zebranych ze wsi, a między nimi na przodzie kilkanaście dziewcząt, postrojonych w wianeczki, wstążki i kwiaty. Przypatrywałem się przez szybę okienka, bo chata była szczelnie zamknięta, a zmierzchnie nie dozwalał rozpoznać całego zgromadzenia.

Wtém od strony gościńca buchnął potok światła, zatętniły konie i orszak z kilkunastu jeźdźców złożony, z pochodniami i latarkami, strojnych świątecznie, z przypinanymi bukietami, wjechał w środek koła. Przed nimi postępowało dwóch skrzypków, klarneckista i basista, i zaczęli grać ognistego krakowiaka. Harmider powstał wielki, wreszcie wszystko uciszyło się, a najstarszy druźba, wyjechawszy naprzód, począł śpiewać:

Dobra nocka, dobra,
Dziewczyno nadobna.
Cóż będziesz płakała?
A czemuż nie śła,
Kiej cię ludzie chcieli,
Tylko nas czekała?

Począł chórem zaśpiewali wszyscy:

A czy my to panie dziadku nie ludzie, nie ludzie?
Co to do nas ta dziewczucha nie wyjdzie, nie wyjdzie.

I znów zaczął druźba drugi:

Dobra nocka, dobra,
Dziewczyno nadobna.
Idziem tu do ciebie;
A wyjdźże tu do nas,
A przywitajże nas,
Wprowadź nas do siebie.

Chór.

A czy my to panie dziadku nie ludzie, nie ludzie?
Co to do nas ta dziewczucha nie wyjdzie, nie wyjdzie.

Trzeci druźba.

Dobra nocka, dobra,
Dziewczyno nadobna.
Idziem pod twą strzechę;
A wyjdźże tu do nas,
A przywitajże nas,
Zróbże nam uciechę.

Chór.

A czy my to panie dziadku nie ludzie, nie ludzie?
Co to do nas ta dziewczucha nie wyjdzie, nie wyjdzie.

Druźba czwarty.

Dobra nocka, dobra,
Dziewczyno nadobna.
Idziem pod twe progi,
A wynijdźże do nas,
A przywitajże mnie,
Chociem ja ubogi.

Chór.

A czy my to pani matko nie ludzie, nie ludzie?
Ze to do nas ta dziewczucha nie wyjdzie, nie wyjdzie.

Wtém gospodarz, który stał u drzwi, otworzył je na oścież, wyszedł naprzeciwko druźbów i zaśpiewał drzącym głosem:

Bóg zapłać wam chłopcy,
Druźbowie, parobcy!
Dziękuję wam stary
I moja dziewczyna.
Pójdźcież na pocześnie,
Na szklaneczkę wina.

Wtędy muzyka przodem, a za nią, zsiadłszy z koni, druźbowie i druchny weszli do izby. Stary do nich przepił, a oni kolejką pili za zdrowie państwa młodych. Pan młody krył się pomiędzy druźbami i nie pokazywał się narzeczonej, która stojąc za dziadkiem

czervenila się i twarz zakrywała fartuszkim, kuszając niekiedy z podawaną szklanki. Zastawiono na stole kilka łokci kielbas i miskę kapusty, które orszak weselny zmiotł migiem. Muzyka przygrywała ochoczo, wciąż jedną i tę samą nutę. Wreszcie starszy druźba zawołał: „No chłopcy i wy dziewczuchy, pójdźwa, bo już czas.“ Gospodarz pożegnał zgromadzenie i druźbowie wychodzić poczęli. Nie wiedziałem jednak dlaczego druchny zostały, szukając kogoś po wszystkich kątach; wreszcie do komory wyciągnęły opierającego się pana młodego, który tam się był zakradł, wyprowadziły go i ujawszy pod ręce, zaśpiewały:

Dajże pokój dziewczynie,
Niech pomyje naczynie,
Niech się Bogu poleci,
Zanim dziadka odleci.

Huczne śmiechy towarzyszyły tej scenie, począł wszyscy się oddalili, wyjawszy gromadki niedorostków, którzy ciekawie przez okna zaglądali; ale przyszły proboszcz, pan drugoklasista, uchwyciwszy bicz dziadka, resztę gości rozpędził.

Na drugi dzień obudziła mię wizawa, śpiącego smacznie na sianie pod strzechą; zebrały się druźki i ubierały pannę młodą w komorze. Mój gospodarz przywitał mię grzecznie i przeproszał za niewygodny nocleg. Chciałem się przyjrzyć ubieraniu panny młodej, ale mi nie dozwolono wniknąć do komory, bo tam przystęp każdemu mężczyźnie był wzbroniony.

Siedząc na wózku i dążąc do Kłokoczyna, byłem przekonany że jako mieszkaniec miasta, a jeszcze akademik, będę przodował całemu obrzędowi i zawczasu łamałem sobie głowę jak się wziąć do tego. Tymczasem wpośród gromady wiejskiej nikt jakoś na moją wielkość nie zważał. Częstoowano mię wprawdzie rżęsiście i sadowiono przy stole, wszelako moja figura nie imponowała wcale weselną druźynie i bawili się swobodnie, jakby mnie tam nie było.

O godzinie ósmiej wysła panna młoda, ubrana w wstęgi i kwiaty, okryta białym ranituchem, z bukietem przy boku, otoczona gronem drużek, które z wielkim zgorzaniem mego estetycznego smaku, ubrane były wszystkie w ciężkie buty z podkówkami. W pół godziny potem zajechał znów orszak druźbów konno, z bukietami na kijach wstążkami ozdobionych. Zeszło się także wielu starych gospodarzy i gospodyń, oraz cała rodzina Macieja. Skoro wszyscy weszli do izby i powitali gospodarza, Marysia upadła staremu do nóg i począła okrutnie płakać, a druchny śpiewały smutno:

Błogosławcież panie dziadku wnuczusi,
Sieroteńka nie ma ojca, matusi.
Błogosławcież panie dziadku sierocie,
Aby jej Bóg darzył w szczęściu, we cnocie.
Błogosławcież panie dziadku dziewczynie,
Niech jej młodość marnie w biedzie nie ginie.
Błogosławcież panie dziadku na ten ślub,
Żeby jej też w gospodarstwie darzył Bóg.
Błogosławcież sieroteczce wy ludzie,
Bo na ten ślub do kościoła już idzie.
A przelażże panno młoda przez progi,
A uchwycże swego dziada za nogi.

Głośne łkanie panny młodej przerwało pieśń; leżała ona u nóg dziadka i na cały głos płakała, bolejąc nad swoim sieroctwem. Dziadek także się rozplakał, robiąc kilkakrotnie znak krzyża świętego nad głową dziewczęcia. A nietylko cała rodzina, ale i wszyscy przytomni głośnie łkaniami napelnili izbę.

Wtém wystąpił naprzód sędziwy kmięć, swat pana młodego, i zawołał: „No już dosyć tych lamentacyj, moi kochani, a pozwólcie mi też rzeknąć słów kilka, wedle zwyczaju.“ Uciszyli się wszyscy, a swat począł mówić: „Moi kochani! co pan Jezus daje, to trzeba z pokorą przyjąć, a nie lamentować ani wyrzekać przeciwko mocy Boskiej. Podobalo się panu Jezusowi, że wziął do swojej chwały ojców Marysi, to niema co płakać, bo taka wola Boska; a im tam pewnie lepiej, niżeli nam sierotom na świecie. Powinniśmy oto dziękować Najświętszej paniencie, że choć kumotra Macieja przy życiu zachowała, bo gorzejby było sierocie, gdyby i tego dziadusia brakło, co ją uczciwie wydał i wywianował, musiałaby się tyrać po służbach, a może i uczciwość stracić. Ochwiarujcież ten frasunek panu Bogu, w Trójcy świętej jedynemu, a kiedy już przyszło do wesela, dajcie spokój lamentacyom. Pan Jezus zesła wam pociechę, a jeżeli ty Maryś odchodzisz od dziadusia, to ci przecie twój chłop nie zbrońi choćby i co dzień go widywać. I wy kumie otrzyście oczy, a poblegawcie obojgu, żeby im się dobrze wiodło na świecie w tym nowym stanie. Pocieszycie tém duszyczki

ojców, co tu pewnie wedle nas się przypatrują, a może jeszcze prawnuczat doczekacie!“

Wtędy Jacus podał dziadkowi kropielnicę ze święconą wodą, a stary, pokropiwszy klęczącą parę, położył obojgu ręce na głowach, i podniósłszy oczy do góry, zawołał pobożnie:

„Błogosławie wam, moje dzieci, w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, a proszę cię Panie Boże wszechmogący, przez Najświętszą krew Syna Twego, którą za nas grzeszników przelał na krzyżu, abys im poblegawcie raczy!“

Ta sama scena, z małą odmianą, powtórzyła się z rodzicami pana młodego, począł oboje powstał, muzyka zaczęła grać, a druźbowie śpiewać:

Do cugu konisie, do cugul!
Wyberaj się pani młoda do ślubu!
A już się ubrała
W tę spódnice coś miała,
W tę spódnice coś miała,
W tę spódnice, srebrny pas.
A wychodźże, bo już czas,
Bo już wszyscy idziemy,
Do kościoła jedziemy.

Zajechały wozy, w pierwszym muzyka, w drugim druchny z panną młodą, w trzecim dziadek, rodzice pana młodego, Jacus i ja, w czwartym, piątym i szóstym inni goście; dokoła zaś ze dwudziestu druźbów i parobczaków konno, strojnie i gwarno.

Muzyka ochoczo przygrywała, a młódz przyspiewywała jakąś piosenkę, której dobrze dosłyszec nie mogłem; pamiętam tylko ostatnie cztery wiersze, powtarzające się za każdą strofką:

Najświętsza panięka dobra gospodyni,
Bo całemu światu na pożytek czyni,
Na pożytek czyni, wszystkie stadła łący,
Błogosławże i nam Boże wszechmogący.

Summa wyszła, a cały orszak weselny słuchał jej do końca, klęcząc z wielką pobożnością. Druchny ustrojone w kwieciste spódniczki, zgrabne materyalne gorseciki, na głowie miały las wstążek i kwiatów, pomiędzy któremi środek zajmował wianek z gałązek choiny upleciony, maleńki jak jabłko, a ozdobiony mnóstwem złocistej folgi na szczecinki nanizanej i trzęsącej się za każdym ruchem głowy. Krasne wstęgi druźbów i wielkie bukiety przypinane do boku, odbijały od białych jak śnieg ranituchów mężatek, które jak szale powdzwiewały. Żonaci mężczyźni i starsi goście mieli kapoty długie od waszecia, ze stojącymi kołnierzami, pasowemi łapkami na mankietach ozdobione, i tegoż koloru pasy welniane, a u każdego duży korał w spince.

Po ukończeniu summy, powiedli druźbowie pannę młodą, a druchny pana młodego przed ołtarz. Tu nastąpił tajemniczy spór między obojgiem narzeczonych, bo szło o to, kto pierwszy stąpi na stopnie ołtarza, gdyż kto tu pierwszy, ten i w małżeństwie przez całe życie przewodzić będzie; lecz panna młoda, nieśmiała, pomimo podmawiań drużek, ustąpiła wkrótce pierwszeństwa swemu przysłemu. Starsze mężatki zaleciły obojgu patrzeć na siebie, ażeby, gdy kapłan wymówi słowa: „Czy chcesz pojąc za małżonkę tę, którą przed sobą widzisz,“ nie widzieli nikogo innego, jak tylko siebie, bo tym sposobem niewiary nie będzie w małżeństwie. Ślub prędko się ukończył. Żonaci wzięli pod ręce pana młodego, mężatki *panią młodą*, która odtąd już panną zwać się przestała, i wyprowadzili oboje z pompą przed kościół. Wszyscy wróżyli że małżeństwo będzie szczęśliwe, bo pani młoda na cały głos płakała, a świece jasniutko się paliły.

Wszyscy wsiedli na wozy, muzyka odezwała się hucznie, a parobcy poczęli przyspiewywać:

Leci sokół, leci,
Prosto w ogródcezek.
Przysięgłaś chłopczynie,
Weźmie ci wianeczek,
Weźmie ci swobodę.
Samaś tego chciała,
Brnij teraz przez wodę.

Przysłał se z kościoła,
Siadłam se na progu,
Jużem się wydała,
Chwała panu Bogu!
Hejże ino dobra
Twoja żona z ziobra,
Ślubowała cnotę,
Dbajże teraz o tę.

Idzie woda, idzie,
Po kamieniach huczy.
Kto nie zna co bieda,

Zona go nauczy,
Nauczą go dzieci.
Chciało ci się żony,
Niechże ci się świeci.

Przy wesolej muzyce i śpiewkach, a weselszych jeszcze wykrzykach parobczaków, którzy konno, podając sobie flaszczykę z essencyą, i arakiem się racyli, zajechaliśmy przed drzwi domu. Tu stary oczekiwał ochoczo państwa młodych i podał im rozkrojony na połowę chleb, z którego ośrodków wyglądało po srebrnym talarze. Młodzi upadli mu do nóg, on im błogosławił, a stary swat przyspiewywał klęczącym:

Spraw Boże
W pokorze,
Byś to pożywali,
Z biednym podzielałi.
Nasza panna święta

Niech o was pamięta
I cichości i słodyczy
Waszój kobięcie użyczy.

Wprowadzono za nowozaślubionymi wszystkich gości, ilu ich obszerna izba objąć mogła, przestrzegając ściśle starszeństwa wieku i znaczenia wiejskiej hierarchii. Stara ciotka zastępowała pani młodą matkę i zapraszała gości do zastawionego daru Bożego. A było w istocie co pożywać, bo stół ugiął się od ciężaru potraw. Nie było tam wprawdzie ani serwisów porcelanowych, ni grabków i noży srebrnych, ani bażantów, ani szampańskiego; ale na prostych, polewą białą i wzorzystymi kwiatkami ozdobionych misach, piętrzyły się wieńce smażonych kielbas, kopce żółciuchnych, suto omaszczonych ziemniaków, kapusta duszona z kawałkami wędzonki, kilka gęsi pływających w szmalcu z cebulą; na miseczkach masło, ser krowi i owczy, pełne koszyki czereśni w sadzie narwa-

nych, pierniki, karmelki i ciastka przywiezione przez starego Macieja z miasta; z komory raz wraz wynoszono szumiące piwo piekarskie, a parę gąsiorów wina stało na stole, odbijając bursztynową barwą od rubinowego miodu, którego niemniej było obficie. Napoje i chleb pokrajany w spore kawałki pomieszczono na drugim stoliku, w końcu izby.

Stary Maciej, usadowiwszy przy stole księdza bernardyna z Alwernii, siwego staruszka, który parze ślub dawał, wzięwszy w rękę gąsior z winem i szklaneczkę, zaśpiewał do gości:

Zapraszam was na ten chleb,
Co go najstarszy družba piekł,
A pani młoda nie mogła piec,
Nim zaczęła, wystygł piec.
Co się odwlecze, to nie uciecze,
Toć nam za rok kukieleczkę upiecze.

Szarada i monogram ukryte w szachownicy w N. 130
Tygodnika są następujące:

Szarada.

Szóste pierwsze najdawniej hańbiącą ma sławę;
Czwarte piąte na drodze utrudnia przeprawę;
Drugie czwarte najczęściej w piśmie się używa;
Trzecie czwarte na ważnym papierze się robi;
A wszystko laur zdobi
I sława okrywa.

(Znaczenie: Improwizatorka).

Monogram.

Imię to, słynne dzisiaj w naszej ziemi,
Ma trzy spółgłoski, samogłosek cztery;
Lecz różne nazwy mieszczą te litery:
To, co damami kieruje wszystkimi
To, co jest w szachach, co w wieków plesni,
I to, gdzie dojdziem później lub wcześniej.

(Znaczenie: Deotyma).

Kombinacje: moda, mat, myt, meta:

Na co stać nas
Częstujem was.
Pożywajcie,
Popijajcie,
Serduszka się uradują
Jak się goście uczęstują.

Od strony okna za węższym brzegiem stołu posadzono państwa młodych, po prawej stronie ksiądz bernardyn, po lewej stary swat i inni gospodarze i gospodynie. Drużbowie pilnowali, żeby miski przed gośćmi nie były próżne i szklanki puste. Mnie się dostało siedzenie obok bernardyna, co było wielkim zaszczytem, gdyż żadnemu kawalerowi nie wolno było siedzieć przy stole, podobnie jak i dziewczętom, które w kącie izby przy osobnym stole zajadały, ale jak uważałem, bardzo skromnie. Rzęsiście szły kolejne zdrowia, to miodem, to winem, to państwa młodych,



Pan młody stanął przed okrytymi niewiastami, namyślał się długo, wreszcie pochwycił siedzącą w środku starą Frankową. (Układ i rysunek Kostrzewskiego).

to księdza Michała, to nawet pana studenta, to gospodarzy, to gospodyń; trzeba było dziwnej zreczności, aby oszukać drużbów i nie spełnić kielicha, do czego, zmiarkowawszy że nierad piję, gwałtem mię zmuszali, wymawiając że źle życzą temu, czyje piją zdrowie.

Po skończonej uczcie weselnej, która przeszło godzinę trwała, wstali od stołu, a ksiądz Michał, pobłogosławiwszy państwu młodym, których przyszłe poświęcił mieszkanie, usiadł na wózek i odjechał drogą ku Przegini. Wyprowadziliśmy go kilkadziesiąt kroków, a gdyśmy wrócili, już izba była wyprzątnięta, wymieciona i obficie skropiona wodą. Muzykanci usiedli za stolikiem w kącie, postawili na nim kapelusz otworem do góry i poczęli stroić swoje instrumenta. Trzech było włościan z Czernichowa, to jest skrzypkowie i basista, czwarty Młaskot z Krakowa klarynecista, który niemi dyrygował.

Wystąpił pan młody naprzód, wykręcił się na obcasie, rzucił garsć miedziaków do kapelusza, a potem rzekł: „Zagrajcie mi tego,“ i podał im melodyą, którą wnet klarynecista uchwycił i zagrał, podając nutę swym towarzyszą. Stasiak uciał w podkówki, a potem zaśpiewał, patrząc swojej żonie w oczy:

A cieszy się, cieszy moja rodzineczka,
Żeś Maryś w kościele odeszła wianeczka,
Nie odeszłaś w karczmie ani na ulicy,
Jenoś go odeszła w kościele przy święcy,
Odeszłaś wianeczka przed Najświętszą Panną,
Zatańczujmyż sobie, dalej chłopcy za mną!

Poczęm obtańczył parę razy izbę dokoła, a wtém muzyka uciała. Wnet sunął starszy družba, sypnął grosza do kapelusza i zaśpiewał, spoglądając na mnie stojącego z boku:

Nie masz ci to, nie masz ja-
[ko parobczek,
Az mu się iskiarki sypią
[z podkówceczek;
A panowie z miasta niewie-
[le wartają,
Bo nóżki cieniuskie jak pa-
[tyczki mają.

Do mnie przymówka, po-
myślałem, a wtém drugi za-
czyna, patrząc mi w oczy:

Choćbyś się ty panie miał na
[mnie pogniwać,
Powiem ci że nie znasz kra-
[kowiaka śpiewać.
Dobrze Maryś, dobrze żeś się
[tu wydała,
Żeś panicza z miasta żadne-
[go nie chciała.

Widząc że docinki będą
się sypały jak z worka, a pa-
robocy improwizują wprost do
mnie, cała zaś kompania
przygląda się, a młodzi za-
czynają się chichotać, wystę-
puję naprzód, idę do pani
młodej i mówię:

— A mnie czy wolno za-
śpiewać i przetańczyć?

— O dla Boga, zawołają

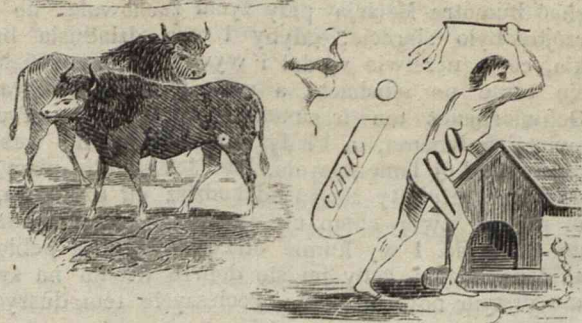
chórem, a czemużby nie? Prosimy! prosimy!
Wtedy i ja z kolei, rzuciwszy złotówkę w kape-
lusz, biorę panią młodą wpół, nastawiam mię ostrą
i zaczynam:

Idzie Wisła, idzie ze Szlaska samego,
Dobrzyscie wy dobrzy, ale mnie niczego;
Umićcie wy śpiewać od nocy do rana,
Toć i u mnie gęba nie zamurowana;
Umićcie wy tańczyć i bić w podkówceczki,
Toć i u mnie także nie z masła nóżceczki.
Dalej chłopcy za mną, hej skrzypki ognisto!
Zatańczujmy sobie po krakowsku czysto!

— Dobry student! dobry! zawołali goście chórem,
i odtąd już harmonia panowała pomiędzy nami.

Przestając na chwilowej wziętości i bojąc się ją
utrącić, usunąłem się z grona tańczących i usiadłem
(Ob. Dod.)

REBUS.



Nagrody przysądzono w Warszawie: pierwszą p. Aleksandrowi W., drugą p. L. L., trzecią p. G. J.; na prowincyi: pierwszą p. P. S. w Sieradzu, drugą p. M. T. w Makolicach, trzecią p. K. L. w Kielcach. Pan A. Z. w Lublinie dobrze wypisał i rozwiązał szaradę i monogram, chybił tylko w kombinacjach ostatniego. Ze jednak premium swe przeznacza na rzecz lubelskiego Towarzystwa dobroczynności, chętnie więc przyznajemy mu nagrodę czwartą, w wartości podwójnej jak pierwsza.

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nr. 130.
Kłódka zamyka skarby, ale języka nie utrzyma na wodzy.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 102 (*)

Białe.	Czarne.
1) B 4 — A 6 biorą	1) D 8 — B 6
2) G 7 — C 3	2) E 8 — D 8
3) C 3 — C 6	3) D 8 — B 8
4) C 6 — C 7	4) B 6 — C 7
5) A 6 — C 7 biorą + i mat.	[biorą.]

(*) W N. 129 Tygodnika przy zadaniu szachowym, zamiast za czwartą, powinno być za piątą posunięciem.

(Dodatek).

przy kumoszkach, które siedząc pod ścianą, zwałwe prowadziły rozmowy.

— No, jak się paniczowi zdaje nasze wesele? rzekła jedna.

— Coby się tam miało zdawać, moja kumosiu; pan student nie takie widział w Krakowie, zawołała druga.

— A jeszcze parobcy zuchwałują, dorzuciła trzecia. Ale im się panicz setnie odciał.

— Owszem, rzeknę, bardzo mi się podoba, bom jeszcze nie był na wiejskim weselu.

— Panicz się musi dawno znać ze starym Maciejem, wtrąciła pierwsza.

— Poznałiśmy się na gościńcu, przysiadłem się na wózek i zaprosił mię na to wesele; widno dobry i gościnny człowiek, kiedy obcego tak grzecznie przyjął.

— Miły Boże, rzeknie druga, co tam u takiego bogacza zaprosiny znaczą? Czy to pan student dużo zje albo wypije, żeby mu to co stanowiło?

— To stary Maciej jest bogatym? zapytałem.

— Ho, ho! mój panie, powiē trzecia kuma, toć od trzydziestu lat galary buduje, a pieniądze zbiera; choćby też na każdym galarze zarobił pięćdziesiąt złotych, a może i więcej zarobi, mało to tego. A toć trzeci rok temu sprzedał ich siedmdziesiąt pięć. Porachuj no!

— Wiēcie Frankowa, szepnie z cicha pierwsza, powiadają że Maciej ma pełnusięnkę ćwierć samych pruskich talarów, bo on wszystko wymienia na *twarde*.

— Czy długo jeszcze będą tańczyć? zapytałem, przewracając te uwagi finansowe.

— Wnet będą czepiny.—Oto się już powoli wymykają na drugą stronę do piekarni. Widział panicz kiedy jak czepią.

— Jakże miał widziē, kiedy nie był na chłopskim weselu? Ale wiēcie Janowa co, weźmy panicza pomiędzy siebie, tak żeby nikt nie widział, i zaprowadźmy go do piekarni, to się przypatrzy.

Jak powiedziały, tak się stało: gromada męzatek sunęła się do piekarni, zrobił się ogromny ruch, parobczaki cisnęli się gwałtem do izby piekarniej, ale niewiasty zwycięzko ich odparły i zamknęły drzwi z wnętrza na klucz. Ja, schylony, przemknąłem się przez szeregi walczących i byłem już w izbie gdy ją zamykano. Rzuciły się kobiety do okien i zasłoniły je szczelnie, również jak i drzwi opatrzyły troskliwie, ażeby się ciekawe oko żadnego mężczyzny nie przedarło wewnątrz. Wyciągnięto z kąta izby dzierzę do zacyniania ciasta na chleb, okryto ją rańtuchem; męzatkę usadziły na dzierzę panią młodą, która opierała się, nie chcąc usiąść, a potem zasłoniła obydwoma rękami głowę, broniąc wianka; ale ochoce kumy pochwytały ręce i trzymały, inne zaś wzięły się do rozbiierania głowy. Ma się rozumieć, że cały ten opór był udanym. Starsza kuma czyli starościna zaśpiewała:

Pomaluśku rozbiierajcie,
Warkoczka jęj nie targajcie,
Boć to idzie do niewoli,
Niechże ją główka nie boli.

Następnie z wielkimi ceremoniami zdjęła jęj wianeczek i śpiewała, wyręcając panią młodą:

Ziele moje, ziele, o mój rozmaronie,
Już cię moja rączka ostatni raz łomie.

Poczęm podano nożyczki starościnnie, która rozplotłszy piękny warkocz pani młodej, śpiewała:

Biędnaż ja, biędnaż ja, pięknie was też proszę,
Niechajcież (1) warkoczków, niechajże je noszę.
Z temi warkoczkami od małościom rosta,
A ucinać chcecie, zem już za mąż poszła.
Wolałabym nie iść za Jasia onego,
Anizli postradać warkoczka mojego.
Wolałabym nie iść, góry, lasy kopać,
Niż warkoczzyk stracić, a Jasięczka kochać.
Góry, lasy skopię, jestem sobie wolna,
A teraz już w życiu nie będę spokojna.

Na to jęj inne odpowiadają:

Napróżno się spraszasz, nic ci nie pomoże,
Wzięłaś ci się Jasia, dopomóż ci Boże;
Wzięłaś ci się Jasia, wnet wianeczek stracisz,
Wianeczek utracisz, warkoczkiem zapłacisz.
Bo jako świat światem taka rzecz nie była,
Żeby męzateczka wianeczek nosiła.

Tu wśród placzu pani młodej, żegnającej łzami chwile swobody i szczęścia dziewczęcęgo, nielitościwe kumy ucinają jęj warkocz, który traci na znak utraconęj wolności.

Starościna odpowiada za panią młodą:

Bądźcie chłopcy zdrowi, bo już za mąż idę,
Przedałam dziś wolność, kupiłam se bięde.

(1) Niechaj znaczy: zostaw w spokoju, nie dotykaj.

(Dodatek do Nru 131 Tyg. Ilustr.)

A kumy na to:

Już ci się godzi,
Ten czas przychodzi.
W wianeczkuś się nachodziła,
Chłopców we wsi nazwodziła,
Czēpiec ci się godzi.

Poczęm włożyły jęj na głowę czēpiec siatkowy. Rzecz osobliwa, że go panna młoda nie nosi późnięj nigdy, ale chodzi w chustce na głowie, czēpiec zaś ten chowa na śmierć i do trumny ją weń ubierają. Starościna śpiewała przy kładzeniu czēpca:

Moje miłe kobiēteczki,
Nie żałujcie tēj siateczki;
Niech nie siedzę między wami,
Kieby *chachól* roztargany.

Inne niewiasty śpiewają, gdy starościna czēpiec kładzie:

Maryś moja, Maryś, pojrzyj do powały,
Żeby twoje dzieci czarne oczy miały.

Po czepieniu nastąpiła starożytna pieśń o chmielu:

A żebyś ty chmielu na tyzki nie laź,
A żebyś ty z panien nie robił niewiast.
Hej chmielu, hej nieboże,
Niech ci pan Bóg dospomoże!
Ale ty chmielu na tyzki idziesz,
Niejednę pannę na niewiastę zwiedziesz.
Hej chmielu, hej nieboże,
Niech ci pan Bóg dospomoże!

Nakoniec wszystkie chórem śpiewały:

Pragnęłaś Marysiu na kawalek sieci,
Niechże ci się teraz na głoweczce świeci.
Idźże dziewczyno ku ogrodowi,
Wykopże dołek twemu wiankowi,
Wykopże dołek, wykop głęboko,
Boć go już ludzkie nie ujrzy oko.

Po skończonym obrzędzie oczepin, wysunęły kobiety ławę na środek, sprzątnąwszy dzierzę, posadziły na nięj z brzegu panią młodą, a dwie drugie obok, i wszystkie trzy pookrywały rańtuchami starannie, żeby nie można było rozpoznać która z nich jest nowozaślubioną; poczęm otworzyły drzwi śpiewając:

Ach dla Boga, co takiego,
Co nie widać kupca mego?
Czy ją kupi, czy nie kupi,
Bo ją pojme do chałupy.
A mój miły panie młody,
Wynieś-że nam konew wody,
Konew wody, konew piwa,
Kiej ci dziewczkę oddajewa,
Konew piwa, konew wina,
Kiej ci jeszcze jest dziewczyna,
A jeżeliś rad dziewczynie,
To nam przynieś we flaszczyynie.

Pan młody stanął przed okrytymi niewiastami, namyslał się długo, wreszcie pochwycił w środku siedzącą. Wtenczas kobiety zerwały okrycie i gdy towarzystwo ujrzało że Stasię, zamiast swojej Marysi, ścisnął starą Frankową, wybuchnął śmiech powszechny i wszyscy na wysięgi żartowali z tēj omyłki. Wreszcie starościna przerwała drwinki, ujawniwszy panią młodą za rękę i prowadząc ją śród śpiewu:

Przypatrzeiż się wszyscy ludzie,
W wianku była w czēpcu idzie;
Pięknie jęj było w wianeczku,
Ale pięknięj w tym czēpeczku.

Poczęm ruszyła na czele orszaku do izby weselnej, a rzuciwszy muzykantom w kapelusze i podawszy im melodię, zaśpiewała:

Już ci Maryś nie trza hulać z chłopakami,
Ale podrygiwać lekusięńko z nami.

Z kolei wzięła ją druga, śpiewając:

Najadłaś się Maryś u dziadusia chleba,
Idźże teraz na swój, bo ci chłopca trzeba;
Sprawujże się dobrze, żeby cię nie bijał,
Do karczmy nie chodź, gorzałki nie pijaj.

Tak kolejno tańczyły wszystkie niewiasty i druchny z panią młodą; wreszcie stary Maciej wszedł do izby i poprosił gości do posiłku. Znowu częstowania, znowu pito miód i wino, najprzód kobiety, które tu rej wodziły, a potem mężczyźni. Po tēj sutęj przekasce powrócili wszyscy do izby weselnej i tańczyli do rana.

Na drugi dzień z rana zajechały wozy przed domostwo Macieja; państwo młodzi upadli do nóg staremu, a młoda męzátka płakała serdecznie, pośród

śpiewu smutnego kobiet, którym, wyręcając odjeżdżającą, żegnały domostwo, gdzie dziewczyna urodziła się i dotąd zamieszkiwała. Pieśń ta jest długa, dlatego jęj w całości przytaczać nie będę; wypiszę tylko urywek, który da wyobrazenie o całości:

Bądźcie zdrowe stoły, ławy,
I ty piecku malowany,
Co cię me rączki bielaly;
Któż cię teraz bielić będzie
Kiej Marysi już nie będzie?

Bądźże mi zdrów mój domeczku,
I ty miły ogródeczku,
Ty nad łóżkiem obrazeczku;
Któż o was teraz dbać będzie,
Kiej Marysi już nie będzie? i t. d.

Po ukończeniu tēj pieśni, zaśpiewały inną, która dotyczyła wianowania, a każda strofka odnosila się do którejś osoby z rodziny. Mniej więcęj następnęj ona treści:

Zawołajcież mi pana dziadka mego,
Bo mu będę dziękować.
„Ano jest w piwnicy
I talary liczy,
Bo cię myśli wianować.“
Zawołajcież mi młodszej siostrzyczki,
Bo jęj będę dziękować.
„Toć w komorze stoi,
Poduszeczki stroi,
Bo cię myśli wianować.“

Tymczasem ładowano na wozy różne porządki gospodarskie, które zamożny dziadek posprawił dla swojej wnuczki. Wreszcie poszedł stary Maciej do komory i wyniósłszy spory i ciężki worek, grubą monetą srebrną napelniony, rzekł do pana młodego:

— Mój Stasiu, daję ci ze szczerego serca, na drobek, 150 talarów; pamiętajże żebyś tego nie sterał, ale pomnożył we dwoje i we troje, bo to krwawa moja praca. Daję ci ją nie na hulankę, ale na spomożenie w twojem gospodarstwie. Wiem żeś nie pijak ani goniacz, bobym ci ani dziewczuchy, ani szelęga nie dał. Jak się będziesz dobrze sprawiał, dostaniesz i więcęj, a szanuj mi dziecko i nie krzywdź ani nie bij, bo niedość żebym ci ją odebrał, ale i Pan Bóg skaraby cię człeku. Niechże wam błogoslawi Pan Bóg w Trójcy świętej jedyny i Najświętsza panienska, królowa nasza.

Po tēj przemowie przeżegnał i uścił oboje i sam się rozplakał, a młodzi na wóz usiedli.

Ruszyły wozy, a wtēm kilku parobczaków założyło drogę w poprzek żerdzią i nie puścili jadących, dopóki ich nie poczęstowali miodem, który swat miał na pogotowiu. Scena ta zatrzymywania powtórzyła się kilkakrotnie, dopóki ze wsi nie wyjechali. Orszak konny družbów towarzyszył im. Stary stał przed domem, smutno patrząc na dzieci.

— Czego się turbujecie, panie Macieju? rzekłem; powinniście podziękować Bogu, że wam pozwolił doczekać wydania wnuczki.

— Mocny Boże, odpowiedział stary, kiwając głową, któż tam wie jak będą żyli? Chowałem dziewczynę tyle lat, była mi jako najmilsze oko w głowie. Czy ją będzie szanował, czy mi się dziecko nie zmarni, jak nieboszczka córka?...

Kilka lez potoczyło się po ogorzalęj jego twarzy.

— Ufajcie Bogu, rzekłem, wszystko w jego mocy.

— Ha, zapewne, tak trzeba zrobić. Pójdźmy do izby.

I weszlismy, a stary obchodził każdy ką, poglądając załośnie. Po wczorajszym gwarze cisza... Maciej poszedł ku łóżkowi Marysi, ucałował obraz N. Panny częstochowskiej nad niēm zawieszony, zapalił lampę i stał z godzinę nieporuszony, a kiedy niekiedy ocierając łzę, z cicha coś szeptał... zapewne słowa modlitwy.

Trzeciego dnia rano, podziękowawszy za gościnność, ruszyłem drogą ku Alwernii.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KAZANIA SZLACHECKIE.

Kiedy w wieku XVII Polska coraz się w obyczaju domowym oddalała od ludu, kiedy zaniedbując pieśni z nim wspólnych, zastąpiła je wymową, i wymowę tę zastosowywała do obrzędów przy zaręczynach, ślubach, pogrzebach, przy uctach i zabawach nawet, wtędy to szlachcie wymowny, który potrafił rzecz daną *okrągłemi* wyrazić słowy, zyskiwał zaraz rozgłos, sławę i *estymę* między bracią.

Pomijając poważną wymowę, przejdźmy do wesolej, humorystycznęj, w której pierwsze trzymają miejsce tak zwane *kazania szlacheckie*.

Niedawno widzieliśmy przez znakomitego artystę Straszynskiego wykonaną akwarellę, przedstawiającą takie kazanie. Ci którzy ją oglądali, dziwili się, dlaczego taką scenę, niesympatyczną na obecne czasy, malarz wziął za przedmiot do kompozycji. Nie dziwimy się nawet, nieprzychylnemu przyjęciu przez ogół, bo nikt nie objaśnił jakie miała znaczenie. Wzięto za szyderstwo z przeszłości, co było kiedyś prawdą w życiu.

Akwarella przedstawiała rozochoconą szlachtę, i to jak się zdaje ze smutnych czasów Augusta III, owego okresu uśpienia i niedołęztwa. Jeden z licznych jej grona, z wywyższonego miejsca, w komży nawet, prawi zebranym kazanie, a szlachta klaszcze, raduje się i śmieje serdecznie.

Zaprawdę, dziwny to obraz dla niewtajemniczonego w życie domowe naszych przodków. Jako, więc szlachta nasza wyszydza najpiękniejszą wymowę, wymowę kaznodziejską? szlachta nasza, co mianowała się, i słusznie, rycerzami krzyża, co była nieprzełamana zaporą przeciw barbarzyństwu i pogaństwu? To potomkowie owych, co pisząc do Henryka Walezyusza, aby powrócił lub zrzekł się korony, skreślili słowa: „My jesteśmy chrześcijaństwa przedmurzem, na ostrzu miecza naszego trzymamy tyłu ludów spokojność, i by te ludy speczywały, wzrastały bezpiecznie, my na czatach, w pośród slot i mrozów, bezsenne noce trawić musimy.“ Potomkowie to owych czcigodnych praojców, co przed bitwą wzywali pieśnią Boga-rodzice o pomoc i zwycięstwo, a przy mszy świętej szabel dobywali do połowy, na znak gotowości do obrony wiary? co sejmikując gwarnie, gdy przyszło do gorętszej rozprawy, na widok kapłana idącego z Najświętszym Sakramentem, w najwyższym zapale wnet ostygła, i padając na kolana, kornym uderzała czołem?

I ta szlachta, jakby na urągawisko z rzeczy poważnych i świętych, wyszydza kazalnicę, przywdziewając nawet oznaki kapłańskie?

Zaprawdę, obrazek Straszynskiego mógł te wszystkie myśli rozbudzić w sercu niejednego. A przecież artysta nic nie stworzył z fantazji, wziął fakt z przeszłości i z żywą go prawdą oddał.

Szlachta polska żyła zwykle na wsi, bo miast nie lubiła, przybывая do nich tylko powołana sprawą rzeczypospolitej, albo własną. Bawiła w nich krótko, gościła, i wracała ochoczo do rodzinnych dworów. Przez wiosnę, lato, jesień i część nawet zimy, do trzech króli, wyjąwszy szczególnych familijnych uroczystości, nie opuszczała domowego ogniska, poświęcając się pracy rolnej i myślistwu. Zapusty dopiero otwierały szerokie pole ciągłej niemal rozrywce. W niej rej wiodły sławne kuligi, a przy nich najczęściej i kazania szlacheckie.

Jużemy opisali starodawne kuligi, w których całe rodziny nieraz po miesiącu własnego nie ujrzały dachu, jadąc od dworu do dworu, to krewnych, to przyjaciół i znajomych, a wszędzie podejmowani ochoczo i gościnnie. Nie brakło na nich pieśni, poważnej gawędy między starszemi, ale brakowało pola szlachcie do popisania się z darem wymowy i zyskania ztąd u panów braci pożądanej estymy.

„Kot nie łowny, chłop nie mowny, niewiele warci.“

Było to przysłowiem powszechnym narodu szlacheckiego. Owóż już w początkach XVII wieku widzimy pojawiające się kazania szlacheckie, przy zebraniach kuligowych. Kazania te otwierały pole szczególnego rodzaju wymowie. Ten który się sam wybierał na kaznodzieję, lub głosami liczniemi panów braci wezwany został, musiał mieć zapas dobry wiadomości i być czytany, ażeby mu w cytacyach historycznych nie zabrakło wątku.

Niewinna ta rozrywka nie miała ani cienia nawet niereligijnej myśli; wzięto tylko formę kościelną wymowy, czyli raczej samą jej nazwę, ale treść zadnego nie miała podobieństwa z prawdziwym kazaniem i jego wzniosłym a świętym celem.

Kazania te szlacheckie były niejako przyprawą cukrową licznych na kulig zjazdu; poważni duchowni, tak wyższej hierarchii, jak proboszcze i kapelani, ochoczo stawali w gronie słuchaczy, i chętnie kaznodziejom tym improwizowanym użyczali biretów i komż swoich.

W większych dworach, gdzie bywały chóry dla kapeli, na nich urządzano rodzaj ambony; gdzie brakło chóru, stawał mówca na wzniesieniu, ażeby nad zebraniem towarzystwem górował. Kaznodzieja taki, lubo celem jego było wywołać śmiech w słuchaczach i rozweselić całe zebranie, sam przecież musiał zachowywać się poważnie. Z obliczem surowym wcho-

dził na kazalnicę, i nie go z tonu i postaci pełnej powagi wybić nie powinno było.

Kiedy zmęczone tańcem i ochotą grono kuligowe chciało odpocząć i zabawić się zarazem radośnie, wołano o kazanie. Nieraz daremne były żądania, bo nikt się nie znalazł, coby wstąpić chciał na kazalnicę, w obec licznych zebrania, z którego wielu słyszało już zawołanych w tym rodzaju mówców. Występujący musiał czuć się na siłach, że odpowie trudnemu zadaniu, którego te głównie były warunki:

1. Aby z zadanego tematu zaimprovizować kazanie.
2. Kazanie nie może być krótkie i kuse, ale mając ma przynajmniej pół godziny czasu.
3. Aby objęte w niem były najważniejsze postacie z dziejów starożytnych i nowoczesnych.
4. Aby całe kazanie, pomimo erudycji, nie miało sensu, a było pełne żartobliwości i humoru, ku rozweseleniu słuchaczy.

5. Mówca powinien wypowiedzieć je płynnie, bez zająkowania się i przerw długich, wyjąwszy odetchnięcie, westchnięcie i czasu potrzebnego dla użycia chustki od nosa.

Nigdy nie drukowano podobnych kazań, choć spiswane nieraz bywały, i to jest dowodem oczywistym, że szanując rzeczy kościoła, nie chciano upowszechniać chociaż niewinnej rozrywki, ale noszącej tytuł kazań, aby nie dać powodu do podejrzeń, jakoby takowe były satyrą na wymowę kaznodziejską. Przechowywano przebrańsze w dyaryuszach i *Silvach rerum* domowych w rękopisie.

Z rękopisu Jana Wardińskiego, który mamy przed oczyma, podajemy wyjątek z takiego kazania szlacheckiego, jako wzór tego rodzaju wymowy.

Tytuł rękopisu jest następujący:

„*Depozyt bogaty, albo księga pierwsza, to jest opisanie książąt y królów polskich, przytym różne memorabilia z różnych manuscriptów zebrane, ręką Jana Wardińskiego pisane. Roku od narodzenia Pańskiego 1699.* (W kroju arkuszowym, str. 420, oprócz spisu rzeczy.)

Pochodzi on z zamożnej niegdys biblioteki Aleksandra hr. Chodkiewicza, na pierwszej bowiem karcie czytamy własnoręczny jego dopisek:

„Rękopis ten darowany mi został przez szanownego koleżę Horodyskiego w Warszawie, 1811 roku. A. Chodkiewicz.“

Odkładając na czas inny szczegółowy przegląd tego ważnego zabytku, wypisujemy tu parę ustępów z przechowanego w nim kazania na te słowa:

„Wszelki kto się podwyższa, poniżony będzie.“

„Zasnie czasu jednego król hiszpański Holofernes alic obaczy że Izaaka patryarchę wiodą do Rzymu na ścięcie. Wtém się ocknie, i był dzień; ale to mniejsza, bo kiedy wół ryczy na oborze, wilcy się tego bynajmniej w lesie nie boją, ponieważ ten jest panem, kto kogo zje. A lubo kot ma wasy, jako i robak, przecież żrebię tchórza urodzić nie może.

„Wrony na bluszczowém drzewie nie siedzą, chyba w zimie, około świętego Wawrzyńca. Gdy Manasses zbudował Kraków, który leży na półzgarzu, niedaleko południa, natenczas król angielski Bucisladius, za panowania Kodrusa cesarza Lombardyi, porwał się z motyką na słońce, grożąc mu Niemcami. A tak kiedy deszcz przyjdzie, a ziemia sucha, tedy się kamienie ani w trawę, ani w kłoski nie obróca, chyba żeby Żydzci chcieli macerować jelenią brodę w occie, tedyby i sam cesarz turecki, na zieloném mieszkając morzu, mógł do Wenecyi wypaść, ponieważ tam nie głęboko, gdyż stary kaczor bez niebezpieczeństwa pływać może. Ale tego ztąd dojść nie możemy, i nie każdy który palec między drzwi kładzie, uskrzynie się. Co iż tak jest, pokażę na dzisiejszym *sermonie*, względ mając zawsze na to: „iż kto się podwyższa, poniżony będzie.“

„Nie każdy będzie w niebie, choć go przywołają, gdyż to prawdziwa, że wielu wezwanych, a mało wybranych. Jakoż i słuszna rzecz jest; bo cóżby to było, gdyby prosięta w dudy grały? musiałyby i wilka z lasa wypędzić. A ono kto w piecu lega, drugiego ożogiem rad maca, i nie przystoi aby noc była bielejsza aniżeli dzień, bo kiedy pieska biją, tedy i lewek strachać się musi.

„A że nie tu dudki łowią, bo Abel dawno na hipokondryą umarł, a kozy, lubo rogi i uszy mają, dotychczas mówić nie umieją, chyba żeby Kalwin miał zamartwychwstać przed sądnym dniem, czemu wiary dawać szkoda; a być nie może, gdy się szydło z mo-

towidłem rozigra, aby pajak miał wielbłąda połknąć. Na to każdy z nas ma pamiętać, że cnota i pokora nie ma miejsca u dwora, gdyż *aulica vita, splendida miseria*, bo kiedy proszą a nie dadzą, każdy musi dać znak łaski po sobie, względ zawsze mając na to, iż: *kto się podwyższa, poniżony będzie*.

„A przecież co się już powiedziało, dla lepszego zrozumienia wiedzieć zapewne trzeba, iż co prawda to i nie grzech, i tak ma być i jest, iż kiedy kogo pięta świerzbi, tedy żadnym sposobem od wiatru południowego Wisła nie wyschnie, chyba żeby p. Sądocki burgrabia chciał mury szczebrzeszyńskie łbem przebić. . . . i t. d. i t. d. i t. d.

Kazanie to podzielił mówca na cztery części, bo gdziekolwiek wypadł mu tekst, który położył za zasadę, iż „każdy kto się wywyższa, poniżony będzie, przerywał mowę i odpoczywał.

Zginęła dla nas cała wartość różnych zastosowań i przycinków do osób i okoliczności współczesnych, zginęło więc i wrażenie jakie odbierało zebrane grono, gdy słuchało żywego słowa mówcy, popartego wymowną mimiką.

Zespolenie razem tylu niedorzeczności, nie jest pomysłem oryginalnym szlachty polskiej; wzięła ona myśl ze znaniej dawniej pieśni ludowej, i po swojemu przerobiwszy, zastosowała ją do nowego rodzaju wymowy. (*)

Znany kilka kazań z czasów Jana Sobieskiego których w obozach, przy odpoczynku po trudach wojennych, z upodobaniem rycerstwo nasze słuchało. Towarzysze-kaznodzieje używali wielkiego szacunku w swojej chorągwi. Treść peror ich składała się zawsze ze zbioru różnych historycznych wspomnień, pomieszanych z sobą, w których nie było ni ładni składu, a najmniej prawdy. Ale te obozowe kazania różniły się od innych tém, iż w nich pierwsze wspomnienie poświęcano zwyciężkiej walce i pogromowi nieprzyjaciela. Biada każdemu, któryby okazał w boju tchórzliwość: w takim bowiem kazaniu wyprowadzał go mówca na czoło i smagał nielitościwie szyderstwem i pogardą. Zresztą kazania takie podobne były do powyższego, z małemi tylko zmianami. Nieraz w nich nawet też same ustępy powtarzano.

Za czasów Augusta III gęsto się one przewijają po rękopismach, przeplatane suto łaciną. Za Stanisława Augusta, podobnie jak za panowania króla Jana III, rzadko gdzie cytata łacińska zawadzi.

W jednym dyaryuszu rękopiśmiennym czytamy pod r. 1790: „Umarł die 12 septembris m.c.p. Stanisław Bratkowski, który po *sermonie* z aplauzem przyjętym, zaniemógł i w kilka dni umarł.“

Dalęj opisuje imieniny u pana starosty, na których tenże Bratkowski miał *kazanie* czyli *sermon*, z tekstu: „Maluczko ujrzycie mnie, maluczko nie ujrzycie mnie.“

A mówił z małego chóru w wielkiej sali starosty. Zebrani pękali od śmiechu, słuchając tego kazania; ale gdy dojął do żywego dwom sąsiadom, co się z sobą od lat wielu prawowali o kawalek łączki, i dociął jednej damie, co kilka *wizyt* oddała na zamku królewskim w Warszawie, o mało potem nie przyszło do szabel, aż pan starosta powagą swoją uspokoił zwaśnionych, dowiódłszy że mówcy-kaznodziei wszystko wolno. Dama tylko, napiekłszy raków, wyjechała zaraz, nie czekając kolacyi.

Pomiędzy konfederatami barskimi słynął z takich kazań pan Jacenty Kułakowski, równie dzielny mówca, jak sławny rebacz, a siły olbrzymiej. Przemowy jego miały głównie na celu wyszydzenie nieprzyjaciół konfederacyi i dworu królewskiego. Znał wszystkich dygnitarzy, umiał ich głos i postacie wybornie naśladować, nie wyjmując samego Stanisława Poniatowskiego. To też jak gdzie wystąpił z kazaniem, a przywdziewszy fryzowaną perukę, mówić zaczął, szlachta zanosiła się od serdecznego śmiechu i kaznodzieję obnosiła w tryumfie na ramionach.

Zginął on w jednej wycieczce z Czeszochowy, wysłanej przez Kazmirza Pułaskiego. Zrąbał kilku jeźdźców nieprzyjacielskich, gdy z janczarki w pierś trafiony, spadł z konia. Uniesiony przez towarzyszków broni, umarł nazajutrz po bitwie w klasztorze częstochowskim.

Z rokiem 1794 niknie ślad wszelki tego rodzaju kazań.

K. Wł. W.

(*) Zaczyna się ta pieśń:

„Komar z dębu spadł, złamał sobie gnat.“ i t. d.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Powieści Walerego Łozińskiego.

Ponieważ od niedawnego czasu krąży u nas w obiegu kilka powieści Łozińskiego, nie od rzeczy więc będzie, gdy rozpatrzywszy się bliżej w tych utworach, wspomnimy parę słów o ich autorze.

Walery Łoziński, młodzieniec pełen zdolności i umiejący wytrwać w powziętym postanowieniu, nie ukończywszy gimnazjalnych nawet kursów, uzupełnił swoje naukowe wykształcenie czytaniem i samodzielną pracą. Szajnocha i dziennikarstwo wyzwoliły go na pisarza; powieść, jako forma pozornie najłatwiejsza, posłużyła mu do wystąpienia w szranki literackie. Czy to było właściwe dla niego pole, sądzić o tym nie chcemy; wszelako zdaje nam się iż Łoziński, przy swoim dobitnym i obfitym słowie, poznawszy lepiej własne zdolności, byłby się poświęcił historii lub innej umiejętności. Przedwczesny zgon młodzieńca, którego talent dopiero rozwinąć się zaczął, nie pozwolił mu wejść na właściwą drogę. O ile zaś nasze mniemanie jest uzasadnione, przekonana się czytelnik, przebiegłszy z nami treść pozostawionych przez Łozińskiego kilku książek, z których znaczniejsze i u nas znane są następujące: *Szlachcic chodacki* (1857), *Szaraczek i karmazyn* (1859), i *Czarny Matwij* (1861).

Chociażśmy przywykli nie zważać na tytuły, bo te najczęściej służą za ozdobę lub przynętę i nie mają związku z tem co zapowiadają, wszelako razi nas zawsze źle dobrana nazwa książki, niekorzystnie dająca wyobrażenie o autorze, który co innego chciał powiedzieć, a co innego powiedział, lub też należyście swego tematu nie rozwinął. W *Szlachcicu chodackim* zdaje się iż jest bohaterem, chociaż często na uboczu stoi, stary konfederat Maciej, prefekt czyli wójt szlachecki w wioski Zawichrzyna. Brał on żywy udział w sprawach krajowych, więc też w najrozleglejszym znaczeniu rozumie, co to jest *bonum publicum*, dla którego poświęca swą wolność, a nawet rzecz najdroższą, bo klejnot szlachecki. Jego kontrastem jest baron austriackiego autoramentu, który zapomniawszy że się szlachcicem polskim urodził, całe swe życie poświęcił na nikczemne podstępny i jurystowski wybiegi, byle Zawichrzyn wcielił do swego majątku, a butną i ciągle pieniącą się zawichrzynską szlachtę w swoich parobków przemienił. Opis braci zawichrzynskich, bajeczka o skarbie, romans pięknej Zazuli z Czarnym Jerzym, chociaż im znaczną część książki poświęcono, są dodatkami służącymi głównie do uwydatnienia myśli autora w tytule zapowiedzianej.

W *Szaraczku i Karmazynie*, kto jest szaraczkiem, a więc jednym z bohaterów, także nie wiemy, bo jest ich trzech mających do tego pretensyą: Michał, prawdziwy szaraczek, stary wiarus Nikodem, w którego córce Andzi Michał się kocha, wreszcie Karol, którego zaraz poznamy. O karmazynie tylko niema wątpliwości, bo jest jeden, jak zaraz zobaczymy. Hrabia Zarucki, dziedzic Zarucha z przyległościami, potomek kasztelanów i wojewodów, tak samo jak baron poprzedniej powieści, tylko w odmienny sposób, poświęcił się cały na robienie majątku, pod pozorem rozszerzania krajowego przemysłu. Zakładał więc fabryki, skupował majątki i idąc za radą dwuznacznego charakteru jurysty, nabył wioskę, o którą w drodze spadkowej procesowała się biedna wdowa. Zbiegiem okoliczności, a mówiąc otwarcie brakiem znajomości rzeczy, pomimo olbrzymiej fortuny, hrabia ujrzał się bliskim bankrutem: fabryki chłonęły nietylko procenta, ale i kapitały, długi rosły i proces z wdową groził przegrana. Tu, pomimo właściwych swęj kascie wad i przesądów, hrabia, postępując sobie jak zany i prawy człowiek, gdy mu przewrotny jurysta podsusza myśl wyszukania i zniszczenia jedynego dokumentu na którym wdowa opiera swoje prawo do majątku, odrzuca ją z pogardą, nie chce plamić podłym czynem swęj tarczy, chociaż wie iż przez to naraża na niechybne ubóstwo siebie, dorosłego syna i na wydaniu będącą córkę. Tak niezwykle w dzisiejszych czasach postępkiem nie zostaje bez nagrody. Karol, syn wdowy, adwersarii hrabiego, unikając smutnych następstw kompromitacji politycznej, przybrał obce nazwisko i zbiegiem okoliczności dostał się do hrabiego na prywatnego sekretarza. Tu pokochał piękną Maryę, córkę hrabiego, zyskawszy najprzód jęj sympatyę, a potem wzajemność. Dumny ojciec, dostrzegłszy ten stosunek młodych ludzi, wypędził pogardliwie swego sekretarza, nie wiedząc iż wkrótce tenże stanie się jego zbawcą. Było to bowiem w nieszczęśliwym dla Galicyi 1846 roku, kiedy piekielny pomysł uzbroid bratobójcze dłonie, grożąc zagładą szlachcic polskiej. Hrabia, opadnięty w zamku przez

tłum włóczęgów i pijaków pod dowództwem ziemczalego obdartusa, który służył w wojsku austriackim, rozpaczliwy stawia opór, uzbraja służbę i fortyfikuje zamek jak może. Ale daremnie: rozbestwiona szajka druzgocze co na drodze spotyka i zamek wraz z jego mieszkańcami usiłuje spalić... Wtedy zjawia się Karol. Po wygrany bowiem przez matkę procesie, udał się w drogę po odbiór majątku, lecz posłyszawszy w drodze o grożącym hrabiemu niebezpieczeństwie, postanowił i jego i piękną jego córkę ocalić. Szczęśliwym pomysłem wiedziony, pobiegł do znajomego p. Nikodema, starego wiarusa polskiego, który miał w sąsiedztwie Zarucha swojej fortunke i wielkiego od wszystkich doznawał poważania. Ten skorzystał z kłótni Bajbuzów i Slepownów, sąsiedniej zagonowej szlachty, która w zapalczywości zabierała się właśnie do bójki, pogodził ich i powiódł na odsiecz hrabiemu. Przybyli dość wcześniej, aby Zarucha mieszkańców ocalić. Gdy uradowany hrabia dziękował braci szlachcie za wybawienie od zguby, zachmurzył się wielce, spostrzegłszy na jęj czele z Nikodemem dawnego swego sekretarza, a obecnie przeciwnika, który przybywał po odbiór majątku. Po wyjaśnieniach jednak, w których piękny charakter Karola ukazał się w pełni, hrabia się udobruchał, a Marya, uszczęśliwiona, rękę mu oddała. Koniec łatwy do przewidzenia: matrimonialne układy ocaliły hrabiego od bankructwa, Bajbuzowie pogodzili się ze Slepownami, a dziarski Michał zaślubił swęj Andzię.

Z przywiedzonej treści niewiele czytelnik wniesć może o wartości książki, bo wiadomo iż z najwzajemniejszych wydarzeń, z najpospolitszego tematu, geniusz poety stworzyć może arcydzieło. Nie możemy tego powiedzieć o *Szaraczku i Karmazynie*, który jako utwór sztuki bardzo wiele zostawia do życzenia. Kto tu odgrywa rolę szaraczka? czy zagadkowy Karol, więcej wdychający niż samoistnie działający, czy zakochany Michał? czy wreszcie dzielny ze wszech miar Nikodem, lecz w dalekim, jakby przyczepionym zostający związku z główną akcją powieści? Pomimo tych artystycznych uchybień, rzecz czyta się z zajęciem, mianowicie tam, gdzie autor, nie wdając się w żadne psychologiczne zagłębiania, wiernie odzwierciadla szczegóły z życia społeczności galicyjskiej; to też opis Bajbuzów i Slepownów zawsze będzie wyborny.

Ostatnia powieść Łozińskiego p. t. *Czarny Matwij*, jest stosunkowo do innych jego utworów najlepszą, widoczny w niej postęp, tak w rozwinięciu działających charakterów, jakoteż w prowadzeniu akcji; sam wreszcie przedmiot, jako mniej zwyczajny, budzi większe zajęcie. Młody, ognistego charakteru góral, pokochał najpiękniejszą dziewczynę i został jęj szczęśliwym mężem; ale śnać los mu tego pozazdrościł, bo zjawił się nieszpetyny dziedzic sąsiedniej wioski i żonę mu zbałamucił. Z rozpacz po jęj samobójstwie, złączył się z bakuniarzami (przemysłnikami), i w jakiejś krwawej utarczce ze strażnikami austriackimi zginął bez wieści, a i w czas, bo powszechnie padało podejrzenie, iż mszcząc się nad owym dziedzicem już żonaty, strącił ze skały ogromny kamień, który tak nieszczęśliwie go przytłoczył, iż jeśli nie życia, to rozum nazawsze pozbawił. Dziedzic Krużoskala, potomek zasłużonych w kraju ludzi, syn bohaterskiej pamięci ojca, został idiotą, jakby za karę, iż młodości swęj użył na rozpustę i hulanki.

To są anteriora powieściowej akcji; rozpoczyna ją dziko-romantyczna scena, gdy młody i szykownej postaci Węgier, mówiący przecięz wybornie po polsku, ma paść pod nożami bakuniarzy, którzy w nim widzą przebranego strażnika. Od niechybnej śmierci wybawia go Czarny Matwij, człowiek tajemniczy, który niewiadomo z kąd pojawił się w górach i zamieszkał na wierchołku *Wilczej szczęki*, straszliwego miejsca, pełnego złych duchów... Olbrzymiej postawy, pokaleczony, ponurego oblicza, Czarny Matwij w wielkiem był zachowaniu u zabobonnego górskiego ludu; chatę jego rzadko kto odwiedzał, i to ze strachem, prosząc o pomoc lekarską; Matwij bowiem najslawniejszym był w okolicy znachorem, a więc niezaprzeczenie pokumać się musiał z diablem. Otóż Węgier uratowany przez Matwieja spoczął w jego schronieniu, z kąd zwiadzając okoliczne góry, nieznacznie ale wciąż dopytywał się o szczegóły życia i śmierci Maksyma Borby... Niezwykły strój Lajosa, tak bowiem zwał się ów Węgier, jego młodość i piękna postać, zwróciły powszechną uwagę. Szczególniej zajęto się nim w dworze krużoskalskim, gdzie uważając go za wędrownego malarza, zaproszono w gościne. Lajos przedstawiając się oświadczył, iż jest lekarzem z petersburskiego uniwersytetu, a w ciągu dalszej rozmowy wyjawiał, iż jako kapitan honwedów miał udział w tylko co ukończonej kampanii węgierskiej. Przez delikatność nie dopytywano się go kim był i co w kra-

ju porabiał, biorąc go za znakomitej jakiej rodziny polskiej potomka, który przed austriacką policją ukrywać się musi. Piękny i tajemniczy lekarz zyskał sympatyczne przyjęcie we dworze krużoskalskim, a szczególniej też silne wywarł wrażenie na egzaltowanej, w samotni żyjącej, przeslicznej Leonii, córce owego idioty, co pokutował za nikczemnie strawioną młodość. Lajos i Leonia pokochali się namiętnie, sami nie wiedząc o tém. Wizyta dopióro policyjnego austriackiego urzędnika otworzyła im oczy. Lajos musiał uciekać, a Leonia rozchorowała się niebezpiecznie. Czarny Matwij miał Lajosa przeprowadzić za granicę węgierską, lecz popadł w zasadzkę na bakuniarzy zastawioną; wzięty we dwa ognie, runął wraz z ranym Lajosem w przepaść, gdzie niegdyś zginął Maksym Borba... Powieść zbliża się do swego rozwiązania: gdy rozpacz ma przerwać młodzieńskie życie Leonii, zjawia się niespodzianie Czarny Matwij i oświadcza że Lajos żyje, że udało mu się wraz z nim szczęśliwie wydobyć z przepaści. Nalegany przez panią Zboską, wyjawia, że Lajos jest synem nieszczęśliwego Maksyma Borby, iż po zniknięciu ojca dostał się do Węgier, gdzie skończył uniwersytet i odznaczył się na polu bitwy... Leonia pragnie występek ojca nagrodzić synowi Maksyma, oddając mu swoje rękę. Pani Zboska, rada nierada, przystaje na to, w chwili gdy męża jęj apopleksya zabija. Czarny Matwij, jak się łatwo czytelnik domyślił, był nie kto inny, tylko zmetamorfozowany Maksym Borba.

W powieści tej każdy rozdział, szczególniej z początku, kończy się zaciekawiająco; ale zbyt widocznie okazuje, iż była pisaną do perywodycznego pisma, a więc w oznaczonym z góry terminie; ztąd nie wszystkie rozdziały jednakowo opracowane, różnego są nastroju ducha i niezawsze harmonizują z całością. Pomijając językowe i stylowe usterki, *Czarny Matwij* też same artystyczne ma uchybienia, jakie zauważaliśmy w poprzednich Łozińskiego utworach. Mimo zachwalających go opisów, więcej mających niż działa, więcej konwencyonalną prowadzi rozmowę, niż odzywa się jak człowiek co poczuł swą siłę w zapasach z przeciwnościami. Leonia znów, to druga edycya, (powiększona, ale nie ulepszona) Maryi z *Karmazyna*: jak jedna tak i druga pokochały, bo były w epoce kiedy serce się budzi, a że były oddalone od towarzystwa, więc skierowały swe uczucia ku pierwszemu lepszemu, co je rozkołysać umiał. Wyraźnie autor był za młody, aby rozwinąć psychiczną stronę życia kobiety, co świat swęj cały w miłości zamknęła.

Ani niezaprzeczona wprawa pisarska, ani wybornie odwzorowane niektóre podrzędne charaktery, nie mogą w utworach Łozińskiego pokryć licznych artystycznych uchybień. Za to jeśli zapatrywać się na nie będziemy ze stanowiska społecznego, obywatelskiego, musimy im daleko większą przyznać wartość, niż niejednej z talentem nawet skróślonęj szlacheckiej powieści. Autor stał na wysokości dzisiejszych pojęć socyalnych; pełne refleksyi zapatrywanie się na przeszłość naszą, uchroniło go od przesady w jaką popadli ludzie krańcowych wyobrażeń. Łoziński, wyszły ze szkoły Szajnochy, wiedział dobrze czém jest, czém była i czém być powinna szlachta polska. W dwóch swoich powiastkach odmalował szlachtę, szczególniej tak zwaną chodackową, a jak u nas zagonowa, uwydatnił wszystkie jęj wady, lecz w czynie okazał, że i taka nawet, jako dotąd więcej mająca od ludu poczucia obywatelskiego, oddać może niejedną krajowi przysługę, mianowicie wśród pierwiastków niechętnych narodowości naszej.

Józef Pracki.

KILKA UWAG

nad zamierzonym wysłaniem na wystawę londyńską przedstawicieli naszego przemysłu.

Nie wspominaliśmy dotąd w naszym piśmie o przedmiocie, którym ogół od pewnego czasu dosyć żywo się zajmuje,—o wysyłce przemysłowców tutejszych do Londynu, na wystawę międzynarodową;—a milczeliśmy nie przez obojętność na kwestyę tak ważną dla pomysłowości materyjalnej naszego kraju, ale dlatego, że ona z natury swojej należy więcej do pism zajmujących się sprawami dziennymi. Dziś jednak, kiedy wszystkie już niemal organa naszej prasy objawiły w tym przedmiocie swoje zdanie, kiedy narady nad nim obywateli rozpoczęły się w drodze urzędowej, a tém samém tocząca się kwestya utraciła charakter przemijającej i zamieniła się w trwałe a powszechnie społeczność naszą obchodzącą,—dziś uważamy za stosowne rzucić tu kilka uwag ogólnych, jakie nam nastęrczyło baczne przeczytanie artykułów w tej mierze przez dzienniki warszawskie ogłoszo-

nych. Nie jesteśmy specjalistami i nie mamy pretensji wyrokowania w rzeczy, którą powołani do tego przemysłowcy lepiej niezawodnie i gruntowniej od nas rozumieją; ze stanowiska wszakże postronnego dostrzegacza niech nam wolno będzie streścić to co wyrzekli inni i zarazem zwrócić uwagę na niektóre względy, dotychczas albo niedostatecznie objaśnione, lub nawet całkiem pominięte.

Z dwóch wielkich naszych gazet, *Polska* w N. 64 i *Warszawska* w N. 65, zastanowiły się obszerniej nad praktycznymi sposobami przywiedzenia do skutku pożytecznej myśli, przez p. Ludwika Spiessa, właściciela zakładów chemiczno-technicznych, pod rozpoznaniem ogółu podanej. Godzimy się zupełnie z *Gazetą Polską*, że każdy kraj, stosownie do swych warunków przyrodzonych, ma wyznaczoną rolę w ogólnej produkcji świata; że każdy to głównie wytwarzać powinien, co mu przychodzi najłatwiej, najtaniej i w najdogodniejszych warunkach; że przeto w zamierzonej wyprawie szczególniejszą zwracać należy uwagę na te gałęzie przemysłu, które u nas skutecznie, chociażby w odległej przyszłości, będą mogły współzawodniczyć z zagranicą. Równie trafnym jest zdanie *Gazety Warszawskiej*, zastrzegające w wysyłce na wystawę pierwszeństwo przemysłowi wielkiemu przed drobnym, tudzież rada jej żeby z robotników wybierać do podróży przede wszystkim tych, którzy i najwięcej się nauczyć, i najszerzej to co zyskają stosować będą mogli. Chcieliśmy tylko nadmienić, że spodziewana z wystaw międzynarodowych korzyść, z natury swojej nietylko może i powinna być indywidualna, ile zbiorowa; chcieliśmy zwrócić uwagę na myśl p. Spiessa, przez nikogo dotąd jak należy nie podniesioną, że wszystko tu niemal zależy na charakterze zbiorowym wyprawy, że głównie idzie o to, iżby wysłany robotnik wiedział że ogół mu daje misję, że kraj na niego wkłada pewien obowiązek, z którego sumiennie wywiązać się, będzie świętym jego zadaniem. Wszelkie wysiłki prywatne, chociaż w ostatecznym swym wyniku wyszłyby zawsze na korzyść ogólnego przemysłu krajowego, miałyby jednakże charakter wyzyskiwania uboższych przez bogatszych, zapewniając drugim większą jeszcze przewagę nad pierwszymi; boć z plonu przez takich robotników za granicą odniesionego, długo bardzo, i słusznie, ciągnęliby pożytek ci tylko, których oni kosztem zostali wysłani. Ze przecież koniec końcem każdy wysłaniec-robotnik, bez względu czy odbył podróż kosztem prywatnym, czy ogólnym, powrócić musi kiedyś do jakiegoś warsztatu własnego lub cudzego, a w takim razie z nabytych przez niego wiadomości ten tylko warsztat korzystałby przeważnie,—zdanem więc naszym należałoby koniecznie obmyśleć środki praktyczne, aby robotnicy uczestniczący w zamierzonej wyprawie, po powrocie do kraju zręczność swą i wiedzę dla ogółu spożytecznili. Można by na przykład włożyć na nich obowiązek, ażeby (oprócz przychodzenia w pomoc właściwym sprawozdawcom i udzielania im swych spostrzeżeń, dla podania takowych do druku), za powrotem w umówionym czasie i miejscu opowiadali i wskazywali kollegom wszystko to co słyszeli i widzieli. Tym tylko sposobem (którego praktyczne urzeczywistnienie zostawiamy ludziom fachowym) promienie światła, palące i niszczące gdy je ześrodkuje ognisko monopolu, rozejść się mogą szeroko i wyrzucić wpływ dobroczynny na pomysłność powszechną.

Przechodzimy teraz do artykułu pisma trzeciego, a mianowicie wychodzącej tu gazety niemieckiej (*Warschauer Zeitung*), który najwięcej nastęrcza nam uwag. Pan W. K., autor tego artykułu, napisanego ze znajomością rzeczy i przychylnie dla sprawy krajowej, przychodzi w nim do wniosków następujących:

- 1) Że wysłanie jednego z dziennikarzy, jako ogólnego sprawozdawcy, jest zbyt cennym.
- 2) Że sprawozdawcy techniczni ograniczać się powinni każdy na swoim fachu, ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb naszego kraju.
- 3) Że w obecnym stanie oświaty naszych robotników, wysłanie ich na wystawę międzynarodową nie przyniosłoby spodziewanego plonu, a nierównie odpowiedniejszą byłoby ułatwienie im rocznego najmniej pobytu w fabrykach lub warsztatach sąsiednich Niemiec, z którymi najwięcej łączy nas pokrewnych stosunków przemysłowych.

To samo prawie, tylko mniej zręcznie, powiedział pan A. S. w N. 65 *Gazety Polskiej*.

Co do punktów pierwszego i drugiego zgadzamy się w zupełności z szanownym autorem wzmiankowanego artykułu. Najlepszymi w każdej gałęzi sprawozdawcami będą zawsze ludzie specjaliści, dokładnie

obeznani z położeniem kraju i mający dostateczną ku temu ukształcenie; zestawienie zaś pojedynczych sprawozdań w jedną całość i ułożenie z nich dzieła poświęconego tegorocznej wystawie, skutecznie może kierujący wyprawą, bądź zaraz na miejscu, bądź po powrocie. Sekretarstwo więc takie, jak zauważył już trafnie redaktor *Gazety Polskiej*, byłoby zbytkiem i niepotrzebnie powiększyłoby koszt przedsięwzięcia.

Co do punktu trzeciego pan W. K. utrzymuje, że lubo na poprzednie wystawy w Londynie i Paryżu z wielu stron wysyłano robotników, nie powinno to jednak służyć nam za przykład; zagranicą bowiem często przy kotle fabrycznym lub warsztacie spotkać można ludzi co pokonczyli gimnazya i wyższe szkoły realne; u nas zaś, mimo znakomych w ogóle zdolności polskiego robotnika, rzadko bardzo młodzieńiec z wykształceniem naukowym garnie się do rzemiosła. Dodaje w końcu, że inna rzecz patrzeć na przedmiot już gotowy, a inna zupełnie pracować przy jego wytwarzaniu i umieć go zrobić podług wzoru danego.

Prawda to wszystko, i stokroć prawda; lecz nie umniejsza to bynajmniej pożyteczności zamierzonej wyprawy. Najprzód robotnik, chociażby mniej światły, ale praktycznie uzdolniony, pod kierunkiem wytrawnego przewodnika, który ułatwi mu widzenie i zrozumienie wszystkiego co najwięcej przypada do jego zawodu, niemal zawsze odniesie korzyść, pod względem nawet czysto technicznym, zwłaszcza że wystawcy zagraniczni nie ograniczają się zwykle na przedstawieniu samego produktu, lecz objaśniają zarazem sposoby wytwarzania onego, dołączając jego części składowe, narzędzia służące do wyrobu tych części, rysunki i opisy, schodzące niekiedy aż do pierwotnych materiałów. Powtórnie nie mu nie przeszkadza, przy pomocy tychże kierowników, użyć dwumiesięcznego mniej więcej czasu podróży i pobytu w Londynie, na zwiedzanie fabryk i przypatrzenie się ile możności używanym w nich sposobom produkcji, co nawet powinno być jednym z główniejszych celów wyprawy. Ale inny jeszcze nader ważny wypływnie z niej pożytek moralny. Rzemieślnik nasz po większej części nie ma pojęcia o przemysle zagranicznym; robi swoje po staremu i nieraz nawet dobrze, lecz postęp cały zależy u niego na powolnej rutynie, a skoro dojdzie już do pewnego stopnia wprawy, uważa to za szczyt doskonałości w swym zawodzie i nie przypuszcza wcale żeby gdzieindziej robić można lepiej. Ołóż ta właśnie łuska zaślepienia spadnie mu z oczu, na widok tylu arcydzieł obcych narodów, na widok ogromu pracy i zabiegłości zagranicznej, przy których własne jego prace wydadzą mu się w świetle właściwym. Takie dopiero porównanie przekona go, jak dalece we wszystkich niemal gałęziach rękodzielnictwa, przemysłu i sztuki zostaliśmy prześcignięci; a gdy powróci do domu i rozpowie innym to co widział, wtędy słowo jego żywe, równiennikom niesione, silniej niezawodnie podziała od drukowanych traktatów lub uwag starszyny, wtędy wypłeni ono szkodliwą zarozumiałość i pobudzi do szlachetnego współzawodnictwa.

To co pan W. K. mówi o ułatwianiu robotnikom naszym dłuższej pracy w fabrykach i warsztatach niemieckich, niezawodnie zasługuje na uwagę; kwestya to jednak całkiem odrębna, niemająca żadnej łączności z wystawą londyńską, kwestya którą w czasie właściwym przeprowadzić można niezależnie od tamtej. Dziś byłoby grzechem nie do wybaczenia, gdybyśmy nie przyjęli udziału w tym uroczystym popisie, w tej (jak się wyraża p. Spiess) ogólnej radzie familijnej wszystkich ludów.

Jedno jeszcze słowo co do wyboru rysownika, jak i razem z fabrykantami, majstrami i czeladzią ma być wysłanym na wystawę, dla skopiowania godniejszych uwagi przedmiotów. Ponieważ cel wyprawy przeważnie jest przemysłowy, zdawałoby się więc najwłaściwiej powierzyć tę czynność dobremu rysownikowi mechanicznemu; gdy jednak z drugiej strony koniecznie uwzględnionemi być powinny i przedmioty wytworniejszego rękodzielnictwa, a nawet sztuki pięknej,—zdanem przeto naszym rysownik towarzyszący wyprawie powinien być zarazem artystycznym jej sprawozdawcą, i dlatego wybrałby należało człowieka łączącego z biegłością techniczną, nieodzowne w tym razie ukształcenie estetyczne.

L. J.

Po oddaniu już tych uwag do druku, znaleźliśmy w N. 69 *Gazety Warszawskiej* artykuł p. A. W., o którym dodatkowo słów kilka powiedzić uważamy

za potrzebne. Autor uznaje plan p. Spiessa za zbyt szerokiego znaczenia i nadzwyczaj obszernie nakreślony, a czas i koszt proponowane na wyprawę radzi zmniejszyć do połowy lub jednej trzeciej. Sądzymy że p. A. W. nie czytał chyba z zastanowieniem rozbiernego przez siebie okólnika; trudno bowiem przypuścić żeby ocenił bezstronny liczbę *dwudziestu trzech* osób, koszt *czterdziestu sześciu tysięcy złotych polskich* i czas *czterdziestodniowy* w projekcie p. Spiessa pomieszczone, uważał za zbyt wysokie. Zdaje nam się owszem że cyfry te nietylko są nader skromne, ale nawet za niskie, i tak też, ile nam wiadomo, ogół obradujących zapatruje się na tę sprawę. Pan A. W. utrzymuje, że kierujący wyprawą są niepotrzebni, że dosyć jednego przewodnika, znającego dobrze język angielski i technikę kilku najgłówniejszych rzemiosł. Najprzód o przewodnika łączącego w sobie te warunki niezawodnie byłoby trudno; a potem szanowny oponent zapomniał snadź o koniecznej potrzebie szczegółowych i gruntownych sprawozdań, osobno z każdej głównej gałęzi przemysłu, które pisać tylko mogą ludzie specjaliści, znający rzecz swą dokładnie, pod względem zarówno teoretycznym jak praktycznym. Sprawozdania te, zebrane później w całość i drukiem ogłoszone, oraz gdzie potrzeba objaśnione rysunkami, zdaniem naszym stanowić będą właśnie jedną z najważniejszych zdobyczy zamierzonej wyprawy, ważniejszą może nawet od korzyści technicznej przez samych robotników odniesionej. Szanowny autor artykułu radzi w końcu humorystycznie, ażeby wyprawa, biorąc już rysownika, wzięła z sobą i kucharza, bo wątpić należy aby knedle niemieckie naszej poczciwej czeladzi smakowały. Gdyby przystało w rzeczy tak poważnej bawić się w dowcipkowanie, to moglibyśmy odpowiedzieć że knedle niemieckie będą niedogodnością przemijającą, którą podróżnicy nasi odbić potrafią na rostbifach i plumpudingach angielskich, gdy przeciwnie brak *własnego i rozrządzonego w każdej chwili* rysownika, byłby niedogodnością trwałą, rzeczywistwie cel przedsięwzięcia krepującą. Wolimy jednak seryo nadmienić, że lubo w Anglii znaleźć można zdolnych rysowników, (czy za tanie pieniądze—jak mniema p. A. W.—o tém wątpić sobie pozwalamy), ci przecież niekoniecznie będą na rozkazy kierującego naszą wyprawą; owszem, z pewnością przewidywać można, iż w lot rozchwytywani i przepłacani przez własnych swych rodaków, przez miejscowych przemysłowców, przez wszystkie redakcje pism illustrowanych, przez wydawców wreszcie katalogów wystawy, którzy na wyścigi dobijają się o nich będą,—nie znajdując możliwości ani chęci stawienia się na usługi cudzoziemców. Wysłanie więc rysownika posiadającego wyżej przez nas wskazane przyimoty, uważamy za nieodzowne i najusilniej je popieramy.



Panu Tomaszowi S.....mu. List pański odebrany dopięro został dnia 20 października r. z; jeżeli można, prosilibyśmy o nadesłanie drugiego na dzień 8 kwietnia r. b., pod wiadomym adresem.

Panu Bronisławowi W. z Domaszowa. Prosimy o adres pocztowy, dla przesłania panu brakującego numeru Tygodnika.

Panu Wl. D. w Krzywonosiu. Obszernie rozpisywałbyśmy się musieli, chcąc zadowalając odpowiedzieć na pańskie zapytanie. Dziwne czasem okoliczności plątaj ludzkie zamiary i doprowadzenie do skutku najszczerzejszych chęci czynią niepodobnym. Zapewnienie to racz pan odnieść do pierwszej z poruszonych kwestyj. Co do drugiej, zupełnie na sądzie pańskim polegamy. Jeśli dokument wzmiankowany uważasz za właściwy dla naszego pisma i zajmujący, to chęć go przesłać w odpisie całkowitym lub w wyjątkach (jeżeli zbyt obszerny), a chętnie zrobimy z niego użytek. Przysłowia illustrowane będą dalej prowadzone.

Panom N. P., L. P. i E. S. w Warszawie. Odtworzenie w drzeworycie znakomitego obrazu Simmlera „Śmierć królowej Barbary,” zbyt wiele przedstawia trudności, abyśmy na nie, przy obecnych naszych siłach technicznych, odważyć się mogli. Prztętem dokładne jego kopie litograficzne i fotograficzne w ostatnich czasach w tak wielkiej liczbie rozeszły się po kraju, że przypuszczalny pożytek nowej reprodukcji nie odpowiadałbyłożnym staraniom.